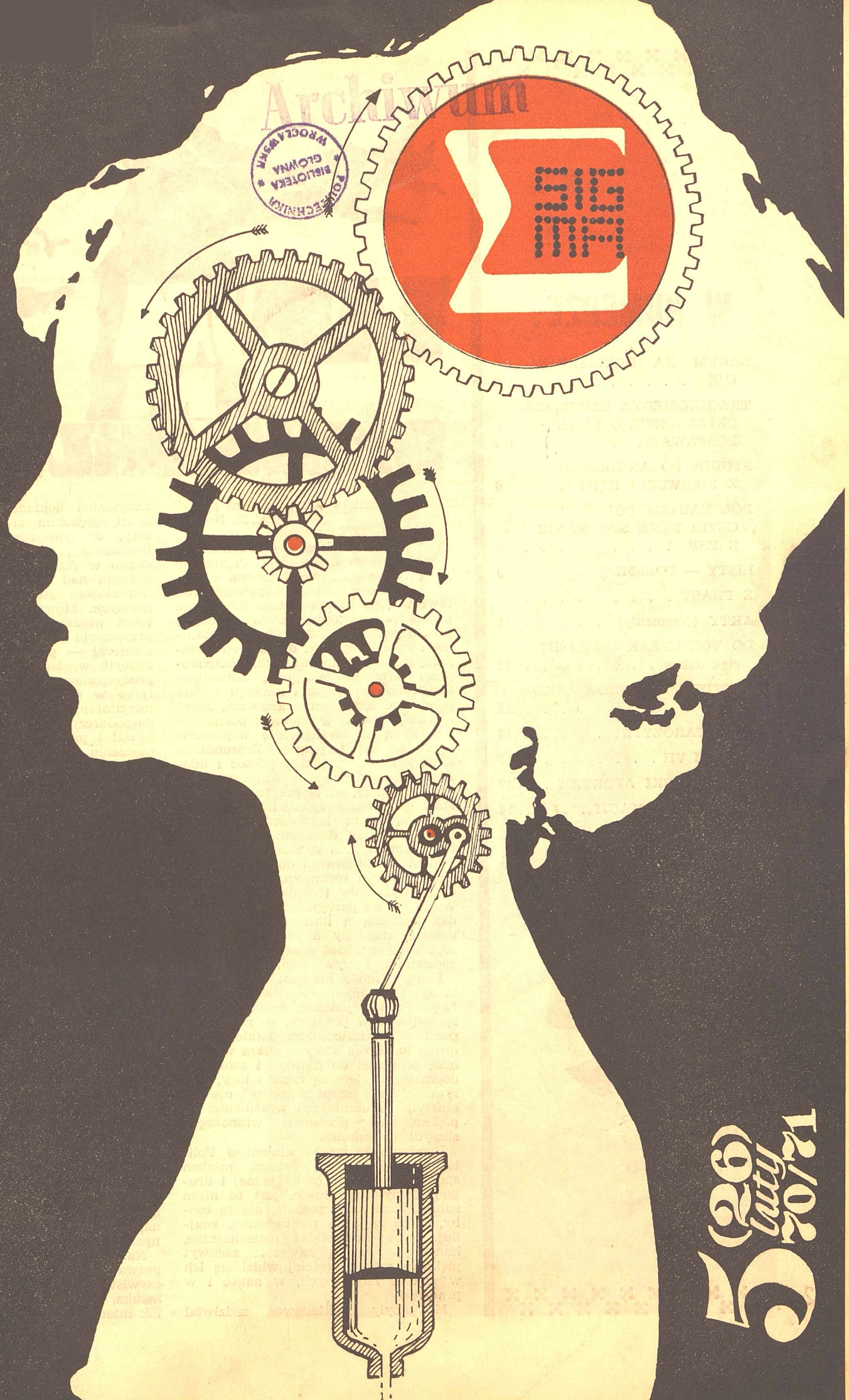
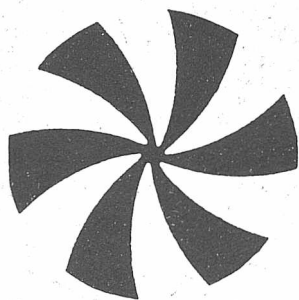




POLITECHNIKA
BIBLIOTEKA
GŁÓWNA
WROCŁAWSKA

W NUMERZE:

LARUM NA DEHUMANIZACJĘ	2
TRAGIKOMEDIA DZISIEJSZA CZYLI RZECZ O PEWNYCH POSTAWACH	4
STUDIA PO ANGIELSKU Z PIERWSZEJ RĘKI	6
PÓŁ ŻARTEM PÓŁ SERIO CZYLI MOJE SPOTKANIE Z ZSP	8
LISTY — POLEMIKI	9
Z PRASY	10
AKTY (fragmenty)	11
DO YOU SPEAK ENGLISH? ciąg dalszy	12
LEKTURY NIEOBOWIĄZKO- WE	13
JUŻ STAROŻYTNI	14
PO RAZ VII	15
WROCŁAWSKI AFORYZM	17
SIGMA INFORMACJI	18
DONOSY	20
RYSOPIS	21



„Sztuka jest kościołem pracy”
C. K. Norwid

Najcelniej określa człowieka nowoczesnego prawo do Piękna, do tworzenia i uczestniczenia w nim. Wartość każdego społeczeństwa tkwi w jego możliwościach kreowania nowości, wyszukiwania w rozległej przestrzeni życia, w otaczającej naturze i świecie zjawisk dotąd niedostrzegalnych, niezdefiniowanych. Zaspokojenie odwiecznego głodu, naturalnej konieczności postępu i rozwoju można powierzyć technikom i artystom. Jedni i drudzy, bogaci w zdolność postrzegania, stoją w awangardzie współczesności, są jej forpocztą. Zrozumienie między nimi, wzajemna pomoc i adoracja, stanowić będą o tempie postępu.

Refleksje te, snute przypadkowo, zostały pobudzone spontanicznie rosnącym lamentem kompetentnych osób, bolejących nad dehumanizacją uczelni technicznych, nad zubożeniem i zawężeniem zainteresowań do specjalistycznych dziedzin technicznych, do fascynacji wyłącznie techniką i maszyną. Wskazują na postępujący rozbrat między techniką a humanistyką, między domeną maszyny a obszarem sztuki, zepchniętym gdzieś poza realne granice codziennej rzeczywistości.

Lament może nie jest słuszny, jak to bywa w lamencie — nieco zbyt euforyczny, ale posiada źródła na tyle sprawdzone w praktyce, że nie należy pomijać ich milczeniem. Istnieje duża grupa ludzi, dla których wiara w technikę prowadzi do dewocji i swoistego dogmatyzmu, lecz są także i tacy, którzy „kuszący szept maszyny” nie zagłuszył, nie umniejszył wrażliwości na piękno, nie przesłonił widnokręgu skrzydłem techniki.

Przebywając wśród studentów Politechniki, żyjąc ich życiem, miałem sposobność poznać osoby jednej i drugiej grupy. Być może, jest to nieco subiektywne spostrzeżenie, ale te osoby, które zajmują się techniką, znajdują czas na książki nietechniczne, koncerty, teatr a nawet ... zachwyty pięknem sztuki, częściej widzi się ich w rzędzie najlepszych, w nauce i w pracy.

Mój były wykładowca zadziwiał

wszystkich dokładną znajomością historii, głębokim zrozumieniem literatury, w tym również współczesnej. Rozmawiając ze studentami popadał często w nastrój sarkastycznego ubolewania nad jednokierunkowością zainteresowań studentów uczelni technicznych. Mówił: — Przed wojną — (choć wiedział, że powiedzeniem tym przypisuje słuchaczy o pobłażliwy uśmiech) — przed wojną inżynier ze zdobytą wiedzą i umiejętnościami był predysponowany do przewodnictwa nie tylko w dziedzinie techniki, ale był inicjatorem poczyną kulturalnych i gospodarczych w miejscu gdzie przebywał i pracował, nadawał ton życia otoczeniu, był prawdziwym propagatorem cywilizacji, kultury i techniki.

Jeśli nawet wspomnienia młodości zostały przez Pana Profesora zbyt wyidealizowane, to jednak, jednak... Encyklopedia wyjaśniając etymologię słowa „inżynier” zaczerpniętego z języka francuskiego, podaje w synonimach: pomysłowość, przemysłowość, tworzenie nowego, konstruowanie itd. Przypomina się historia rozwoju myśli technicznej, okresy pięknego rozkwitu nauki, czasy kiedy symbioza nauki i sztuki była bardziej zgodna niż obecnie. Czasy futurizmu, awangarda lat trzydziestych, czasy, w których zachwyt nad rozwojem techniki pozwolił nauce gigantycznym krokiem wspiąć się na szczyty, skąd obecnie wznosi się jeszcze wyżej. Już wtedy sztuka przytłoczona ogromem nauki spekulowała katastroficzne wizje. Witkiewicz mówił: „... świat zmechanizowany, zdepersonalizowany i aseptyczny, bez miłości, bez poezji, bez sztuki — świat automatów. Kraina całkowitej alienacji. Wizja, którą obecnie powtarza się coraz częściej, przekornie nazwana, jest platonowską wizją sztuki, cieniem cienia, tylko mirażem, może tylko...”

W reperkusji — głosy tych, którzy problem czują mniej subiektywnie niż artyści, głosy twórców nauki: Einsteina, Oppenheimera, Infelda, Bohra i innych.

Nauka gromadząc fakty, precyzując prawa i zależności rządzące rzeczywistością, jest jej świadectwem. Sztuka, odzwierciedlając rzeczywistość, tak interpretuje jej „objawy”, iż wpły-

wa pogłębiająco na właściwości kreowania doznań i przeżyć, pozwala na tylko wiedzieć i widzieć, ale jeszcze doznać i przeżyć obraz świata oraz rzeczywistości. Stąd wysnuć można wniosły znaczenie sztuki w organizowaniu wyobrażeń, w budowaniu podstaw do pracy twórczej. Robert Oppenheimer — wybitny fizyk — powiedział: „I uczony i artysta pracują nad granicami tajemnicy. Ich misją jest właśnie zharmonizowanie tego co nowe z tym co znane, znalezienie syntezy rewolucyjności i tradycyjności, uporządkowanie chaosu”.

Czy możliwe byłoby stworzenie teorii względności, wyobrażenie świata niewyobrażalnego, gdyby Einstein posiadał tylko dar widzieć i wyobraźni, ale tylko wizualnej?

Twórczości, kreowania, budowania — tego oczekuje się od adepta techniki, tym powinien się wyplacać za możliwość nauki i życia. Jednak aby posiadać tę właściwość, należy szeroko patrzeć, wykształcić w sobie umiejętność oglądania rzeczywistości z kilku stron, umiejętność wnikania tam, „... gdzie wzrok nie sięga”; kształcenia w poznaniu rzeczywistości, odkrywania jej w aspekcie szeroko pojętej świadomości człowieka kulturalnego i współczesnego; powierzenia sztuce roli wychowawcy w kształtowaniu osobowości, rozwijaniu umiejętności posiadania i przeżywania wartości dzieł sztuki; pozwolenia jej zostania pierwszym doradcą nauki — uczącej człowieka rzeczywistości i jej realnych atrybutów. Oppenheimer mówi: „Jeśli chcemy osiągnąć głębię i utrzymać się na powierzchni, musimy się o coś zaczepić. O to, co kochamy... o sztukę...”. Osiągnięcie głębi i utrzymać się na powierzchni — to zadanie, jakim obarcza nas współczesność.

Głośno się mówi o niewystarczającym przygotowaniu humanistycznym techników, o braku zainteresowania sztuką. Uwagi słuszne ale ... często jest inaczej. Przykład z sąsiedzkiego „podwórka”: osławiony model radzieckiego naukowca, inżyniera, człowieka pracującego na dalekiej Syberii, świadomego swej roli i pracy; jest on spragniony sztuki, a niejednokrotnie sam ją tworzy. Ten nieco romantyczny model powstał może pod wpływem zwiększonych trudności i ciężkich warunków pracy. Człowiek ucieka wtedy w poza-realne, szuka ukojenia i otuchy w sferze przeżycia i doznania wartości nieprzemijających.

Tam, gdzie życie samo ułatwia egzystencję, tam rodzi się konformizm, który jest celem, a jednakże niewłaściwie pojęty „... wytwarza ludzi przeciętnych, eliminując indywidualności, które właśnie przeszkadzają w świętej zgodzie, drażnią oryginalnością czy bezkompromisowością, odwagą własnego zdania”. (J. Kuczyński). Prawdą jest jednak, że brak zainteresowania, gorzej — potrzeby literatury czy muzyki, wielu tłumaczy brakiem czasu. Nie sposób przyznać słuszość tym twierdzeniom. Ogrom wiedzy, zachłanność techniki nie pozwalają na odstępstwo tym, którzy podjęli się jej służyć. To jeden z paradoksów cywilizacji (echa rosnącego prymatu maszyn i przewagi ich nad człowiekiem), ale wola, prawo decydowania i wyboru pozostanie zawsze poza domeną maszyny. Droga do spotęgowania tych właściwości biegnie poprzez krainę sztuki. I jakże można odmówić sobie czasu na „podróż” w

tę krainę. Jakże wzbraniać sobie szukania ... odszukania samego siebie.

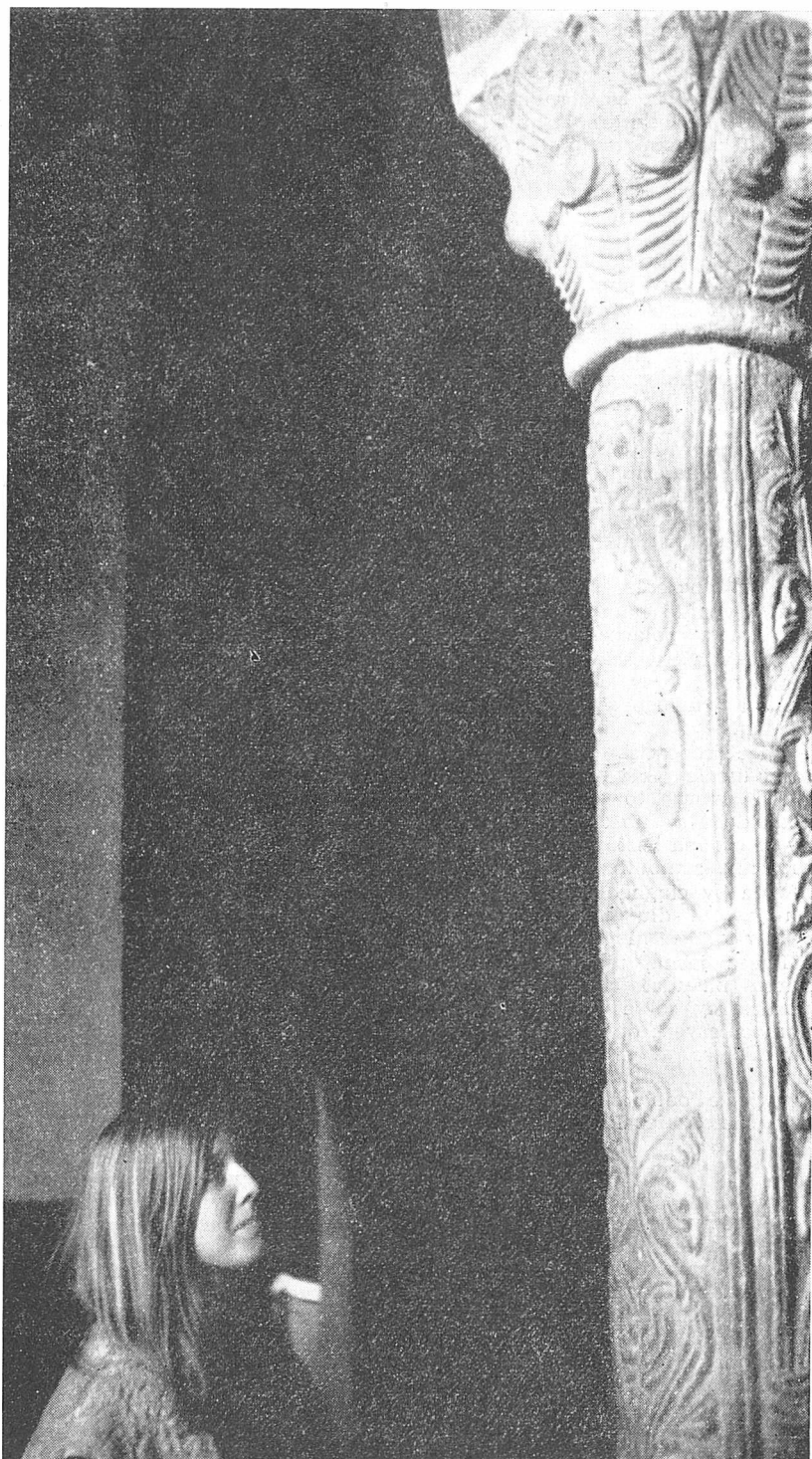
Przeprowadzono, wśród grupy studentów ostatniego roku studiów w Politechnice Wrocławskiej, ankietę, celem której było wysondowanie znajomości i stosunków ankietowanych do humanistyki. Ankieta dotyczyła literatury, szczególnie poezji, jako że z tą dziedziną kojarzy się wszelkie wzniosłe upodobania. Korzystnym zbiegiem okoliczności połowę grupy stanowiły kobiety, wyniki więc były przekrojem zainteresowań w równej mierze studentów jak i studentek. Znajomość tej dziedziny literatury w przeszło 70% pozostaje na poziomie średniej szkoły lub częściej wręcz niższym. Większość ankietowanych nie czyta, nie interesuje się, nie kupuje poezji, jednym braku na to czasu, inni nie odczuwają potrzeby. Ale są również osoby, których wie-

dza i zainteresowania daleko wybiegają ponad „obowiązujący” poziom; oni napawają optymizmem, pozwalają uwierzyć, że proces dehumanizacji uległ zahamowaniu. Jednakże wielu z ankietowanych, którzy odpowiedzieli na pytanie: „Z czym kojarzy Ci się dehumanizacja?” — zawyrokowało: Z Politechniką! Czyżby ironia?

Wypada zakończyć słowami pisarza, niezwykle zaangażowanego w problemy współczesności, pisarza, który z XIX wieku patrzył w nasze czasy: „Sztuka nie jest cackiem, które bawi, ani niańką, która opowiada wzruszające historie, ale razem z nauką — tworzy dwa skrzydła, za pomocą których ludzkość wznosi się coraz wyżej nad świat zwierzęcy...” — powiedział Bolesław Prus.

ANDRZEJ SAJ.

Fot. A. Milli



tragikomedya dzisiejsza czyli rzecz o pewnych postawach

Niedawno spotkałem kolegę ze studenckiej ławy.

— Cześć stary — powiedział — kopę lat... co porabiasz? Ile wyciążasz miesięcznie? Czym jeździsz? — zarzucił mnie pytaniami, potem chwilę odczekał dając mi w ten sposób czas na odpowiedź. Odpowiedziałem w podobnym stylu i tu — pewnego rodzaju niespodzianka — zbulwersowały go moje odpowiedzi, szczególnie to, że jeżdżę... tramwajami.

Nie ma sensu przytaczanie dalszego toku rozmowy, była bowiem nieciekawą i jednostronną, tym niemniej jej ślad w późniejszym czasie skłonił mnie do refleksji. Poczęły nasuwać się odwieczne pytania: skąd przybywamy? kim jesteśmy? dokąd dążymy? Do tej pory nie znaleziono na nie jednoznacznej odpowiedzi; nas zresztą interesuje pytanie środkowe: kim jesteśmy? Truizmem jest już stwierdzenie, że na naszą osobowość wywiera znaczny wpływ otoczenie, środowisko, w którym wypadło nam żyć i działać. Ono właśnie w połączeniu z psychofizycznymi właściwościami klaruje naszą osobowość, przy czym proporcje jednego i drugiego są już cechą indywidualną.

Więc środowisko — to przecież tacy sami ludzie jak i my, pełni wad, zalet, zła i dobra; to wypadkowa, mająca znak dodatni lub ujemny. A my? Każdy z osobna jest nierówny, więc: dobry, zły, samolubny, sprawiedliwy itp. Można by ciągnąć rozważania tego typu jeszcze dłużej, ale przejdźmy do spraw konkretniejszych.

Rzecz jasna, nie znajdziemy odpowiedzi na nurtujące nas pytanie, za to postavimy sobie jeszcze więcej pytań pomocniczych; one przynajmniej wskażą miejsca, w których owej odpowiedzi należy szukać — czy się ją rzeczywiście odnajdzie — to już będzie wyłącznie zależało od nas. A więc:

EGOCENTRYZM

Jesteśmy środkiem, centrum wszechświata, wokół nas wszystko się porusza, cała przyroda, naturalne i sztuczne środowisko powinno nam służyć, w pewnym sensie podlegać naszym żądaniom, wymaganiom, zachciankom. Akceptujemy wszystkie sądy i opinie zgodne z naszymi. Ci, co mają odmienne poglądy, automatycznie stają się naszymi nieprzyjaciółmi — zawadzają nam, przeszkadzają. Stają się

wrogami, jeśli nie zdołamy ich przekonać o swoich racjach. Dlaczego? Co wskazuje na to, że nasze racje są słuszne? Jakie mamy podstawy, żeby taki sąd utrzymywać? Wiek, wykształcenie, znajomość życia? — Przecież inni, nasi znajomi, koledzy, nieznajomi, w ogóle ludzie dysponują podobnymi argumentami. To jednak nas nie przekonuje. Jesteśmy centrum — narzekamy, łamiemy przepisy, buntujemy się przeciw utartym porządkom a także przeciw porządkom nowym. Jakże często wypowiadamy zdanie: „Gdyby był... na pewno do tego by nie doszło... Na jego miejscu bym zrobił...” Czyli w każdym z nas drzemie potencjalny naprawiacz świata. Nie zapominajmy, że ci, na których miejscu chcielibyśmy robić to i owo, są również podobni do nas, co wcale nie znaczy, że my nie mamy racji a oni mają, lub odwrotnie. Owa racja jest niesłyszanie trudna — przynajmniej w pierwszej fazie — do wyśledzenia; niestety, sama wychodzi na wierzch, nieraz w okrutny sposób, po pewnym czasie.

Czyżby nie było ratunku? — zapytamy z zakłopotaniem. Po namyśle odpowiemy, że jest, na pewno jest, tylko działanie nasze musi być spokojne i przemyślane. Powinniśmy uświadomić sobie, że nawet w najdrobniejszych sprawach nie jesteśmy osi — jedynie obracającą się wokół niej piastą. Spróbujmy popatrzeć szerzej, bardziej obiektywnie a może znajdziemy właściwą drogę?

TUMIWISIZM

Niekiedy sparzeni życiem, zgębieni przez panujące stosunki, składamy broń, zamykamy się w bezmyślne trwanie. Dąsamy się, jesteśmy obrażeni na otaczające nas środowisko. Z drugiej strony — musimy żyć — pracować, w jakiś tam sposób funkcjonować w tychże stosunkach — wybieramy więc odpowiednią pozę... Nie zależy nam pozornie na niczym, nic nie jest w stanie nas zadziwić, nic zainteresować, nic zachwycić ani wzburzyć; stoimy martwo jak wypalony krater wulkanu. Postawą tą przeważnie wypełniamy swoją pustkę, niemoc, brak jakichkolwiek koncepcji. Owszem, wykonujemy nałożone na nas przez społeczeństwo obowiązki, ale od przecinka do przecinka, od kropki do kropki, mechanicznie, jak automaty nie-

zdolne do rozszerzenia czegokolwiek, do naprawienia, bądź też zepsucia — więc całkowita bierność. Ta bierność jest zjawiskiem równie niebezpiecznym jak nadmierna aktywność bez udziału zorganizowanej myśli. Czy są antybiotyki na tego rodzaju schorzenia? — zapytamy. Zapewne są, więcej, są i leżą nieomal pod ręką, należy zrobić nieznaczny ruch, żeby brać je pełnymi garściami.

KARIERYZM

Schorzenie chyba jeszcze gorsze od poprzedniego, tym bardziej, że nieuleczalne — coś w rodzaju fatalnego nalogu: im dłuższy czas, tym większe zaawansowanie choroby. Nie od rzeczy będzie, jeśli przypomnimy stare przysłowie: „Im dalej w las, tym więcej drzew”. Niestety, ten typ postawy ma szczególne warunki rozwoju tam, gdzie kończą się uświęcone tradycją normy postępowania, a więc w tych dziedzinach życia i działalności, które skądinąd pchają do przodu świadomość. Ma to szczególnie miejsce we wszelkiego typu działalności artystycznej, jak i naukowej, a także społecznej. Każdy mniej więcej orientuje się, na czym polega owa umownie przez nas nazwana postawa, tym niemniej jednak zwróćmy uwagę na pewne jej cechy. Więć na wstępie zetknijmy się z okresem przyczajenia połączonego z potakiewiczostwem — karierowicz nigdy nie zabierze głosu w sprawach niepewnych, unikać będzie dwuznacznych sytuacji, ale przy każdej sposobności, niekiedy nazbyt ostentacyjnie, aprobować będzie tak słuszne jak i niesłuszne decyzje swoich przełożonych. W ten sposób zwraca na siebie uwagę tychże, co z kolei stanowi dogodną pozycję startową we wspinaniu się na wyższy szczebel. Dalej, po osiągnięciu tegoż szczebla, widzimy naszego znajomego w zażyłych stosunkach z przyjacielami i wrogami swojego bossa, co znowu pozwala na możliwość wprowadzania w czyn tzw. zwycięstw koniunkturalnych... Z chwilą, gdy ambicje hierarchiczne zostaną zaspokojone, zaczyna się drugi ważny etap kariery a mianowicie: robienie sławy; ona bowiem w pełni opromienia karierę. Naturalnie nasz znajomy i w tym względzie będzie drenował społeczność, poprzez nie zawsze czysto reklamowe zabiegi. Należy jeszcze zaznaczyć, że karieryzm jest postawą dynamiczną, to znaczy zdążającą ciągle do pewnych założonych społecznie asymptot.

Szkodliwość tego typu postawy jest oczywista, zatem nie ma sensu dalej jej uzasadniać.

AKTYWIZM

Niejednokrotnie się zdarza, iż dana jednostka zupełnie w dobrej wierze zaangażuje się w jakąś funkcję społeczną, której naturalnie przyswiewiają wartościowe i szczytne cele; odda tej funkcji wszystkie swoje zapasy inwencji, całą aktywność, bez zastanawiania się nad społeczną jej potrzebą. Jasnym jest, iż w momencie tworzenia tej funkcji społecznej jej twórcom chodziło o słuzenie społeczeństwu lub też odwrotnie. Może się jednak zdarzyć, że z biegiem czasu owa przydatność społeczna funkcji w zupełności zanika. Cóż z tego, kiedy nasza zaangażowana jednostka nie chce o tym słyszeć, nie dociera to do niej — działa więc, wkładając w to wszystko najcenniejsze

sze, co posiada. Trud, energia idzie zupełnie na marne, zamienia się w coś absurdalnie nieużytecznego.

Opisywana zatem postawa nie jest postawą z gruntu złą, lecz ułomną. Rzecz jasna, że w każdą działalność w służbie społecznej należy wkładać zapał, energię, ale należy także być świadomym skutków społecznych tej działalności; to bowiem warunkuje naszą przydatność.

* * *

Określone wyżej postawy są negatywne w sensie społecznym, uwypuklają — nieraz groteskowo — te cechy, które wydają się najbardziej charakterystyczne. Nasuwa się pytanie:

czy są w ogóle postawy pozytywne? A jeśli już są, to jakie w nich dominują cechy?

Odpowiedź tu jest jednoznaczna: naturalnie, są! Co więcej — owe postawy stanowią większość w społeczeństwie, większość zdecydowaną, bezwzględną! Jest to warunkiem poprawnego funkcjonowania społeczeństwa, a sprawność tego funkcjonowania zależy między innymi od proporcji postaw poszczególnych jednostek. Mówimy wtedy o stopniu zdemoralizowania społeczności.

Ale powróćmy do naszych postaw pozytywnych. Tutaj najważniejszą cechą, jaką wyróżnimy, będzie czysta, niczym nie skażona świadomość, przekonanie o słuszności naszych poczynañ

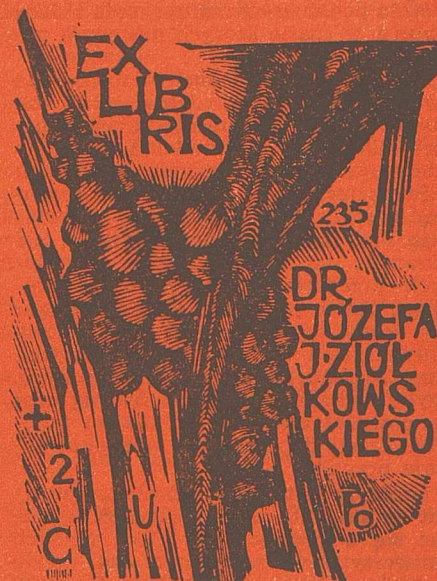
i o ich przydatności społecznej; więc w pewnym sensie podlegająca ewolucyjnemu rozwojowi; świadomość nieustannie konfrontowana z rzeczywistymi faktami działalności. Mówiąc inaczej: musimy wierzyć w słuszność tego, co robimy a co najważniejsze — musimy poddawać się samokontroli, samoocenie i wyciągać właściwe wnioski z ocen, które wystawia nam otoczenie. Znać zatem należy skutki swojej działalności; to bowiem jest motorem, daje zapał i siłę.

Rzecz jasna, że i tak w tym nieco przydługim wywodzie nie ma pełnego obrazu omawianych zagadnień co zresztą nie stanowiło wyłącznego celu.

(WŚCIBSKI)



pracownicy naukowci w exlibrisie mariana klincewicza



STUDIA PO ANGIELSKU Z PIERWSZEJ REKI

Po dłuższym pobycie w Anglii swoimi spostrzeżeniami na temat szkolnictwa tego kraju podzielił się z nami dr inż. KAZIMIERZ ZIEMIAŃSKI:

— *Jakie są obowiązujące kryteria doboru kandydatów na studia w uczelniach angielskich?*

— Aby odpowiedzieć na to pytanie, oprę się na przykładzie Wydziału Mechanicznego Uniwersytetu w Birmingham. Na wydział ten przyjmuje się średnio 50 - 60 studentów — bez egzaminu wstępnego, jednak po przeprowadzeniu bardzo dokładnej, bo czterokrotnej selekcji — poczynając od szkoły średniej. Aby dokładniej to zrozumieć, postaram się krótko omówić system szkolnictwa angielskiego.

Do szkoły podstawowej przyjmuje się dzieci od 5 roku życia. Pierwsze trzy klasy są wspólne; dzieci przebywają w nich od 9 rano do 17.00 — oczywiście, z przerwami na śniadanie, obiad i podwieczorek. Klasy te przypominają nasze przedszkola, gdyż zajęcia polegają na zabawie i nauczaniu elementarnych pojęć, a więc czytania, pisania i rachunków. Szkołę podstawową młodzież kończy mając 12 lat.

Zaskakującym w tym systemie nauczania jest fakt, że zarówno w szkole podstawowej, jak też w szkołach średnich młodzież nie repetuje. Sporo dyskutowałem na ten temat. Argumenty którymi mnie przekonywano, były następujące: pewien odsetek młodzieży, która by musiała repetować, skazany jest na nabycie kompleksów, z czym z reguły związane jest wyzwalanie się złych instynktów — brutalność w stosunku do nowego, młodszego otoczenia, a zatem demoralizowanie go, możliwość do „imponowania”, oczywiście, w złym znaczeniu itp. Aby tego uniknąć, egzaminy końcowe z zakresu całej szkoły podstawowej młodzież zdaje dopiero w ostatniej klasie. I tu właśnie następuje pierwsza selekcja młodzieży: dostanie się do najlepszych szkół średnich warunkuje najlepiej zdany egzamin i uzyskanie odpowiedniej ilości punktów.

Szkoły średnie są dwustopniowe, to znaczy młodzież zdaje jeszcze dwukrotnie podobne egzaminy: małą i dużą maturę, w czasie których następują ponownie dwie selekcje.

Postaramy się jednak dobrać do kwestii doboru kandydatów na I rok studiów. Otóż w ostatniej klasie licealnej kandydat na studenta pisze do interesującego go wydziału na danym uniwersytecie, że chciałby tam rozpocząć studia. Władze wydziału odpowiadają mu, iż warunkiem przyjęcia jest zdawanie na maturze ściśle określonych przedmiotów i uzyskanie określonej ilości punktów. Dla przykładu: aby dostać się na Wydział Mechaniczny Uniwersytetu w Birmingham, kandydat musi zdawać na maturze matematykę, fizykę i chemię i uzyskać średnią ocenę powyżej czterech (w naszym pojęciu). Jeżeli dopełni tego warunku, zostaje przyjęty.

Istotnym jest ponadto fakt, że kandydat na studenta może jednocześnie starać się o przyjęcie do kilku różnych uniwersytetów, zaznaczając na wspólnym formularzu ich kolejność. To ostat-

nie pozwala uniwersytetom dbającym o własną reputację na dokonywanie dodatkowej selekcji. Stąd chyba biorą się w Anglii bardzo dobre wydziały czy uniwersytety, o których głośno w całym świecie, i uniwersytety przeciętne.

— *W jaki sposób przebiega proces aklimatyzacji studentów I roku na wyższych uczelniach w Anglii?*

— Tu aklimatyzacja rozpoczyna się wiele miesięcy wcześniej niż na przykład u nas. Pod koniec kwietnia każdego roku są tak zwane dni otwarte. Reklamuje się je bardzo w miejscowej prasie, radio, telewizji. W tych dniach kandydaci na studentów danego wydziału przychodzą bardzo często z rodzicami w charakterze gości pracowników naukowych wydziału. Są to dni wolne dla pracowników od normalnych zajęć. Pracownicy razem z kierownictwem wydziału oprowadzają przyszłych studentów po całym gmachu, pokazując pracownie i laboratoria oraz wyjaśniając niemalże wszystkie problemy związane ze sposobem nauczania, egzaminowania, prowadzenia ćwiczeń itp.

Następnie w pierwszym dniu zajęć studenci danego wydziału zbierają się na ogólnym spotkaniu z pracownikami, na którym kierownik wydziału przedstawia studentom wszystkich pracowników naukowych, charakteryzując jednocześnie reprezentowane przez nich kierunki nauczania. Po tej prezentacji studenci zwiedzają laboratoria, pracow-

nie, sale wykładowe i katedry, w których będą mieli w najbliższym czasie zajęcia. Ze zwiedzaniem nie ma żadnego kłopotu, ponieważ cały wydział mieści się z reguły w jednym gmachu.

Chyba spory wpływ na zaaklimatyzowanie się mają studenckie organizacje. Do najbardziej prężnych należy studencka organizacja związkowa, odpowiednik naszego ZSP. Do niej to należy umieszczenie studentów w domach akademickich, przydział odpowiedniej praktyki, znalezienie taniego mieszkania, czy — w końcu — wyszukanie odpowiedniej pracy. Organizacja ta dysponuje sporymi środkami finansowymi, udzielając różnych form pomocy studentom.

— *W jaki sposób prowadzi się wykłady na uniwersytetach angielskich i jak wygląda forma egzekwowania nabytych wiadomości?*

— Ponieważ zagadnienie to jest bardzo istotne dla kształtowania jednolitego profilu studenta we wszystkich uniwersytetach, postaram się przedstawić je bardziej szczegółowo.

Pierwsza kwestia — to sprawa wykładów. Otóż na różnych wydziałach i uniwersytetach forma prowadzenia wykładów jest różna. Uczestniczyłem w wykładach bardzo tradycyjnych, takich, gdzie zarówno sala wykładowa jak i sam sposób prowadzenia wykładu niczym szczególnym się nie wyróżniał. Natomiast w nowych salach wykładowych, amfiteatralnych — gdzie studenci siedzą w fotelikach, znajdują się pulpity sterownicze, służące do zaciemniania sal, przedstawiania przeźroczy, wyświetlania filmów, zmiany oświetlenia sali w zależności od przedostającego się światła z zewnątrz — warunki zmuszają wykładowców do całkowitego unowocześnienia sposobu prowadzenia wykładu. Najczęściej jednak przed każdym wykładem studenci otrzymują powielony wykład, na którym robią sobie potrzebne adnotacje, wykładowca nato-

Tower Bridge



Fot. W. Minor

miast wyjaśnia i omawia bardziej skomplikowane problemy.

Egzaminy na wszystkich szczeblach nauczania (szkoła podstawowa, średnia, uniwersytet) są pisemne. Nie ma tutaj żadnej przypadkowości. Mam na myśli w pierwszym rzędzie stopień trudności zdania egzaminu z tego samego przedmiotu na różnych uniwersytetach. Krótko: ten sam przedmiot nie może być na jednym uniwersytecie przedmiotem programowym na innym zaś — łatwym do zdania, tzw. „michalkiem”. Sprawę tę regulują odpowiednie komisje. I tak: wykładowca danego przedmiotu na początku trimestru opracowuje 15 pytań i przesyła je do Ministerstwa Edukacji wraz z rozwiązaniami. Ministerstwo powołuje komisję specjalistyczną dla poszczególnych przedmiotów. Komisje te składają się z emerytowanych profesorów. Po skompletowaniu propozycji wszystkich uniwersytetów komisje wybierają odpowiednie pytania (przeważnie pięć), nawiązując jednocześnie kontakty z wykładowcami poszczególnych uniwersytetów. W prowadzonej korespondencji zwracają uwagę przede wszystkim na dobranie zestawu pytań zbyt łatwych lub zbyt trudnych, albo też brak unowocześnienia przedmiotu. Pod koniec trimestru kierownik wydziału otrzymuje zestawy pytań dla poszczególnych przedmiotów. Oczywiście, studenci wiedzą już na początku każdego trimestru, jakie będą zdawać egzaminy, którego dnia, o której godzinie i w jakiej sali. Wykładowca otrzymuje odpowiedni zestaw pytań od kierownika wydziału w dniu lub przeddzień egzaminu. Może zdarzyć się przypadek, że pytania opracowane np. z mechaniki na Uniwersytecie Londyńskim otrzyma Uniwersytet Birminghamski i na odwrót. Zmusza to wykładowców do utrzymywania odpowiedniego poziomu prowadzenia wykładu, przeprowadzenia wszystkich obowiązujących ćwiczeń i organizowania dyskusji, seminariów i obowiązkowych niekiedy konsultacji, tak, aby studenci byli odpowiednio przygotowani do egzaminu. Niezdarzenie egzaminu już przez kilku studentów daje pewną niezbyt przyjemną opinię o wykładowcy. Zapyta Pani dlaczego. Otóż wykładowca oceniający egzamin nie stawia stopni, a jedynie nanosi na kwestionariusz egzaminacyjny odpowiednią ilość punktów. Np. dla pięciu pytań egzaminator ma do dyspozycji 100 punktów. I teraz dla każdego pytania stawia odpowiednią ilość tychże punktów. Jeżeli zadanie zostało wykonane dobrze w całości student otrzymuje 20 punktów, jeżeli tylko w połowie — 10

punktów itd. Oczywiście kwestionariusze egzaminacyjne są do wglądu studentów. Po skończonym egzaminie ta sama komisja, która ustalała pytania, sprawdza z reguły dwa najlepsze, dwa średnie i dwa najgorsze zestawy odpowiedzi egzaminacyjnych. W późniejszych dyskusjach komisja może nie oceniać, ale w każdym razie zwraca uwagę wykładowcy na temat przeprowadzonego egzaminu, czy był on przeprowadzony zgodnie z zaleceniami komisji czy też ocena punktowa była zbyt sroga czy zbyt pobłażliwa. Tak więc sprawa jednolitości, unowocześniania oraz egzekwowania jest prawie jednakowa we wszystkich uniwersytetach angielskich.

— Czy zdaniem Pana studenci uniwersytetów angielskich studiują samodzielnie?

— Przeglądałem się wielu tamtejszym studentom i jestem przekonany, że studiują oni w pełnym tego słowa znaczeniu. Do samodzielnych studiów są przygotowani już w szkołach średnich. Proszę się nie dziwić: w gimnazjum i liceum uczniowie zgodnie z ich indywidualnymi zainteresowaniami otrzymują do wykonania w jednym półroczu samodzielny projekt. Przykładowo: synowie mojej gospodyni — jeden w gimnazjum, interesując się historią II wojny światowej, otrzymał jako temat projektu udział polskiej marynarki w II wojnie światowej; drugi natomiast, w liceum, interesując się architekturą, wykonywał projekt na temat angielskiego budownictwa wiejskiego. Co to za projekty? Otóż wszystko, co można znaleźć na ten temat: ilustracje, artykuły, rysunki — wlepiali do grubego zeszytu, odpowiednio opisując i charakteryzując. Podobnie jest na uniwersytecie. Dyskusje, seminaria czy konsultacje, o których już wspominałem, sprowadzają się do sprawdzenia wiadomości i — w zależności od ich posiadania — zalecenia odpowiednich źródeł literaturowych.

— A jak wygląda rozkład zajęć; czy studenci mają dużo wolnego czasu dla siebie?

— Na różnych trimestrach i latach różnie się to przedstawia. Rok akademicki jest podzielony na 3 trimestry. Każdy trimestr posiada 8 tygodni nauczania, czyli rok akademicki składa się z 24 tygodni nauki. W tym wszystkie soboty są wolne od nauki i prac naukowych. Wykłady przeważnie odbywają się do południa, natomiast ćwiczenia raczej po południu. Średnio studenci mają tygodniowo 30 godzin zajęć w uczelni. A zatem sporo wolnego czasu.

— Czy dobrzy studenci mają większe możliwości uzyskania dobrej pracy po ukończeniu studiów?

— Wydaje mi się, że chyba w każdym kraju warto być dobrym studentem, gdyż oprócz zaspokojenia własnych ambicji dobry student ma największe możliwości awansu społecznego. W Anglii np. dobrzy studenci bezpośrednio po ukończeniu studiów inżynierskich otrzymują pieniądze z uniwersytetu na dalsze studiowanie. Mam tu na myśli studia magisterskie czy doktoranckie. Profesorem natomiast najchętniej przyjmują takich właśnie studentów, ponieważ mogą z nimi eksperymentować. Praca naukowa, do której wciąga się studentów, zwłaszcza na studiach magisterskich i doktoranckich, posiadać musi pewne ryzyko eksperymentowania i pewnej niewiadomej co do otrzymanego efektu. W związku z powyższym studenci, którzy są najlepsi i otrzymują pieniądze z uczelni, nadają się do tego najlepiej. Również przemysł chce zatrudnić najlepszych studentów, gwarantując im, że po odbyciu stażu pracy wrócą na uczelnię, aby podjąć dalsze studia. Tutaj działa jednak inny mechanizm: młody inżynier, wracając na uczelnię w celu odbycia studiów magisterskich czy doktoranckich, jest związany z zakładem pracy, który finansuje te studia. Otrzymuje on konkretny temat pracy dyplomowej lub doktorskiej, wiedząc, że po powrocie do zakładu zostanie jednym specjalistą z danej dziedziny. Dlatego chyba studia podstawowe — inżynierskie — są bardzo teoretyczne, natomiast magisterskie związane z praktyką. Tak więc oprócz zaspokojenia osobistych ambicji działają tutaj jeszcze bodźce materialne, dopingujące każdego studenta do tego, aby zostać jak najlepszym.

— Jaki procent odsiewu obserwuje się na tamtejszych uniwersytetach?

— Na uczelniach angielskich odsiew jest bardzo mały. Wprawdzie różnie się to przedstawia na różnych uczelniach, średnio jednak od 4-16%. Wynika to chyba stąd, że student, który przychodzi na uczelnię, naprawdę chce ją ukończyć w najkrótszym terminie. No i druga sprawa — to stosunek ilości pracowników naukowo-dydaktycznych do ilości studentów, który jest bardzo korzystny.

Rozmawiała: STANISŁAWA SZULC

* * * * *

Trzeba się wyzbyć siebie, aby zrozumieć innych.

*

Szuflada jest pełna niespełnionych marzeń.

*

Problem staje się problemem dopiero po rozwiązaniu.

*

Nie należy otwierać ust, jeśli się nie ma nic do powiedzenia — chyba, że jest się głodnym.

*

Łapówek wprawdzie brać nie wolno, ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby legalnie wygrywać w karty.

*

ERNEST DYCZEK

Myśli

niesprecyzowane

W łańcuszku pęka zawsze najsłabsze ogniwo.

*

Dojrzewanie już znaczy opadanie.

*

Uratowanie jednego człowieka — to więcej niż całonocne moralizatorstwo.

*

Nie jest ważna ilość myślenia, ale jego jakość.

*

Każda praca jest zaprzeczeniem wolności.

*

Sztuce dno jest niepotrzebne.

*

Nie zawsze warto odkrywać to, co ukryte.

*

Kaprys — to uwertura do dokonania.

Gdy zostałem studentem, przysła-
no mi wspomniały list ze znakami
firmowymi ZSP. W liście tym
było mnóstwo patetycznych słów o tym,
jaki byłem a jaki powinienem być.
Było też dziarskie nawoływanie do za-
angażowania w działalność tejże orga-
nizacji. Tam praca społeczna miała mi
dać zadowolenie, satysfakcję; poważne
zadania i funkcje czekały już na mnie
a ja miałem tylko przesłać swoje dane.
Jako że zawsze byłem sceptykiem, rze-
kłem sobie — zaczekam.

Pierwszy dzień studiów, mowy po-
witalne, opiekun roku, grupy, przed-
stawiciele ZMS i ZSP. Szef ZMS, bar-
dziej operatywny, zapowiedział ogólnie,
że kto należał do ZMS, ma się
zapisać na listę — i tak zostałem człon-
kiem ZMS w Uczelni. Szef ZSP zaczął
od roztaczania miraży imprez atrak-
cyjnych ze wszech miar: ubawy, kluby
studentckie, rajdy, wczasy krajowe a
nawet praktyki zagraniczne tylko cze-
kały na nas. Powiedziałem sobie —
zaczekam.

Po pół roku jako czarna owca stwier-
dziłem, że nie należy się wychylać i
postanowiłem zacząć działać w ZSP.
Zapisywanie moje było równie długo-
trwałe co bezowocne. Trasę RU — opie-
kun roku z ramienia ZSP, odbywałem
wielokrotnie. Wreszcie skończyła się
moja rola piłeczki ping-pongowej w
wyniku interwencji pewnej starszej
stażem koleżanki. Ale oszczędźmy so-
bie szczegółów; zostałem członkiem
ZSP.

Minał pierwszy rok studiów i koń-
czył się już drugi a ja cały czas nale-
żałem do ZSP. Stwierdzić muszę obiek-
tywnie — zajęcie niezbyt kłopotliwe.
Wkrótce jednak skończyć się miały
błogie czasy moich studiów. Miałem
wstąpić na cierniową drogę zawodzio-
nych nadziei, awansów i upadków,
bieganiny, pyskówki z każdym z osob-
na i ze wszystkimi razem, czyli na
drogę młodego karierowicza. Wiele się
miałem nauczyć w przeciągu tej dzia-
łalności, ale o tym dalej.

Ni z tego ni z owego kolega z roku
— już wtedy młody działacz i aktywi-
sta, obecnie postać bardzo popularna
w skali co najmniej „rejonu” — zapy-
tał, czy mam czas we wrześniu, bo jest
obóz szkoleniowy dla przyszłego ak-
tywu ZSP a nikt z roku nie chce je-
chać; wszyscy gdzieś „odlatują”, poza
tym obóz jest za darmo, dojazd zwrac-
ają, blisko miejscowości uzdrowsko-
wej, jednym słowem — „opłaca się”.
Siła „argumentów” była ogromna, więc
pojechałem.

Dwa tygodnie spędzone w pobliżu
gór i dobra wyzerka dodatnio wpły-
nęły na mój organizm i poglądy (!) —
to jednak fajna organizacja. Postano-
wiłem zrekomensować dany mi kre-
dyt i podzielać trochę na rzecz wydzia-
łu — także w związku z głoszonymi tu
i ówdzie sądami, że „u was to panuje
marazm, zastój, degrengolada” i parę
jeszcze takich nudnych wyrazów; w su-
mie — niechęć do pracy społecznej,
czyli do uprzemniania życia sobie na-
wzajem. Jeżeli nikt nie chce, to ja będę
uprzemniał; ostatecznie wysłuchałem
przez dwa tygodnie wielu interesują-
cych prelekcji i wykładów.

Trzeci rok zacząłem pełen zapału
i było już po wyborach. W RW nikogo
nie znałem, rozmowy zaś toczone z ty-
mi kolegami przebiegały raczej w
chłodnej atmosferze. Został mi młody
działacz i aktywista, kręcący się już
w RU. Zawsze byłem turystą, ale na



PÓŁ ŻARTEM PÓŁ SERIO CZYLI MOJE SPOTKANIA Z ZSP



początek propaganda też dobra rzecz.
Nauczę się propagować przyszłe im-
prezy turystyczne — tak rozumowa-
łem. Wkrótce dostałem pierwsze pa-
pierki do rozniesienia, potem ważniej-
sze papierki a wreszcie z bardzo waż-
nym papierkiem pojechałem do bardzo
ważnej instytucji. Ukoronowaniem mo-
jej działalności było powierzenie mi
samodzielnej akcji na prawach ekspe-
rymentu — książki społeczno-politycz-
ne. Przytaszczyłem około 70 kilo ksią-
żek z księgarni do akademika; nie po-
mogły rękawiczki — czułem ciężar wie-
dzy, ale moja duma nie miała granic.
Wkrótce jednak doczekałem się prze-
łożonego, który wkroczył, w momencie
wprost genialnym i objął rządą na za-
sadzie: jak nie, to sąd koleżeński. Wte-
dy jeszcze byłem nieświadomy machi-
ny zachodzących zmian. Tyle, że ko-
lega był elektronikiem.

Z wiosną — własne wybory. Zostaje
kandydatem, robią mi zdjęcie. Kandy-
datów 23 — potrzeba 16. Dzień wy-
borów i są zdjęcia, tyle, że 16 — re-
szta nie wyszła, akurat moje i kilku
kolegów na tym samym etapie co ja.
Mam szczęście — jestem w tym dniu
w posiadaniu paru zdjęć rajdowych i
robię sobie własną kampanię wyborczą.
Przechodzę. Następne zebranie i je-
stem w upragnionej turystyce. Moje
doświadczenia z pracy w propagandzie
nic z propagandą wspólnego według
mnie nie miały, ale niezrażony tym,
ruszam z całą komisją do boju o roz-
palenie wydziałowych imprez, a tury-
styki szczególnie.

W międzyczasie odbywają się wy-
bory do RU. Zaden nasz kandydat nie
przechodzi. Lista plenum jest tyle cie-
kawka, co monotonna. Przy nazwiskach
bez większych zakłóceń figurują skró-
ty: „el”, „meh”, a od czasu do czasu
harmonijnie niszczy „inż. san.”, „chem”
i jeszcze ze dwa. Potem okazało się,
że i nowi ludzie działają w RU. Prze-
cież papierków do roznoszenia jest tam
bez liku — wiem coś o tym.

Szefem Komisji Sportu i Turystyki
RU jest — no zgadnijcie kto? — na
pewno wiecie, więc dalej. Działalność
zaczęła oczywiście wydziałowa KTiS
od kwalifikacji na wczasy i rajdy, po-
tem odbyły się kwalifikacje na wy-
cieczki zagraniczne, jakieś staże i coś
tam jeszcze. Przydział wczasów i wy-
cieczek trochę niepokoił swoją małą
liczbą ale refleksja: wszak u nas lu-
dzie jeżdżą także sami — uspokoiła
rozgorączkowaną wyobraźnię. Kilka dni
potem przez przypadek widzę mnóstwo
miejsc przydzielonych na te same im-
prezy elektronice. Jasna sprawa, mają
więcej studentów ale chcę sprawdzić.
Okazuje się, że stosunek członków ZSP
wynosi 1 : 4 na korzyść elektroniki, zaś
stosunek miejsc 1 : 6 na korzyść tejże.
Muszą chyba strasznie działać; a może
to ich organizacja a ja nic o tym nie
wiem. Tylu ich tam i jak tu wybrać
kogoś spoza kręgu; wszak głupio, po-
tem powiedzą, że na siłę bierze się
ludzi z *niedziałających wydziałów*.

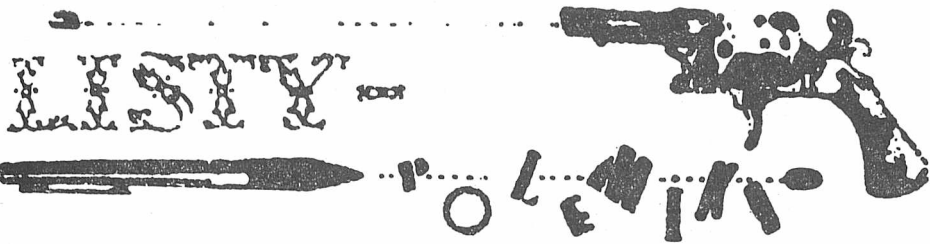
Jesień i znowu seria imprez ze
sztandarowym dziełem, czyli dużo mó-
wiono, że mamy jeszcze mnóstwo pie-
niędzy, zaś w RU stwierdzają, że nie
ma; dostaniemy tylko tyle, ile nam da-
dzą. Nie dziwi nas to, bo było już tak
czasami, ale wkrótce zdarza się rzecz
bez precedensu: koniec listopada, ze-
branie, Komisja Rewizyjna, sprawa
funduszy i: „Dlaczego nie korzystacie
z waszej forsy, już koniec roku a wam
tyle zostało, obetną w przyszłym ro-
ku i dostaną wydziały o dużych wy-
datkach”. Całe szczęście że opóźniły się
„otrzesiny” i teraz to już musiano dać.
Po rajdzie — bieganina za dofinanso-
waniem, ciągle za mało pieniędzy w
kasie. Za dwunastą bytnością w lokalu
RU w tej sprawie zażądałem wyjaś-
nień, gdzie dzisiaj podziałą się gotów-
ka — odpowiedź była prosta: „Dosta-
nie kolega z mechanicznego, który za-
klepał sobie na dzisiaj a pozostałej nie
mogę wydać, bo w kasie musi być re-
zerwa (!)”.

Zbliża się lato i wyjazdy. Interesuje
mnie OHP w NRD. Wreszcie są miej-
sca. Termin mi odpowiada; miejsce
jedno. Zimny prysznic w postaci tej
wieści mobilizuje mnie do walki. Za-
czynam zawzięcie zbierać zaświadcze-
nia o mojej działalności; średnią mam
niezłą. Kandydatów 9, wygrywam.
Miejsca gdzie indziej mnie nie intere-
sowały. W dniu wyjazdu widzę setkę
a ja sam. Rozmyślam o samotności
tłumu ale coś mi też nie gra, bo wszak
w Uczelni jest tylko 11 wydziałów.
W czasie miesiąca pracy okazuje się,
że z tą samotnością to nie tak, bo jest
tu dwudziestu kilku elektroników, tyluż
mechaników, trochę mniej kanalarzy
i jeszcze trochę innych a ja sam.
Wkrótce jednak miało mi przejaśnić
w łepetynie definitywnie a przyczyną
cudu było piwo. W małym Gaststätte
kompan z mechanicznego wypowiedział
zdanie, które wstrząsnęło moimi po-
głądami: „w tej chwili RU to mecha-
nicy i elektronicy i tak łatwo nie dadzą
się stamtąd wygrześć”.

Dla wydziału z ramienia ZSP na
pewno coś tam zrobiłem a teraz trze-
ba się brać za dyplom i działanie w
ZSP się skończyło. A w ogóle to szkoda,
że nie zacząłem studiów na Wy-
dziale Elektroniki, względnie Mecha-
nicznym a w ostateczności Elektrycz-
nym — życie byłoby tak piękne i bez-
problemowe!

R. M.

(nazwisko i adres znane Redakcji)



...I ZUPEŁNIE SERIO

Na początku chciałbym wyrazić ubolewanie z powodu nieujawnienia przez Autora swojego imienia i nazwiska. Szkoda, bo po pierwsze różnie w tym układzie można interpretować jego intencje. Po drugie — wyklucza to możliwość dotarcia do Autora w celu przeprowadzenia z Nim osobistej rozmowy. Padło w tym, nazwijmy to „zyciorysie działacza”, wiele zarzutów pod adresem organizacji ZSP-owskiej w Politechnice Wrocławskiej. Wymowa ich jest o tyle istotna, że formułuje je osoba, która w ciągu pięcioletniego okresu studiów nie mogła znaleźć swojego miejsca w Organizacji, ktoś, kto czuje się faktem tym po prostu rozgoryczony.

Brakiem obiektywizmu byłoby jednak niezwrócenie uwagi na występujące tu i ówdzie w artykule akcenty przyczynarskie a przede wszystkim — niezrozumienie pewnych spraw.

Chciałbym stwierdzić jedno — wina za takie czy inne nieprawidłowości (odrzućmy te przejawaskrawione), z którymi Autor zetknął się w czasie swojej działalności a które na pewno na mniejszą lub większą skalę miały i niewątpliwie nadal mają miejsce, leży w głównej mierze po Jego stronie. Dlaczego? Dlatego, że ktoś, kto zaobserwuje fakty, które w jego odczuciu są zjawiskiem negatywnym a nie usiłuje zrobić nic w kierunku ich wyjaśnienia i uzdrowienia atmosfery, jest osobą akceptującą sytuację. Jest po prostu konformistą. Taka postawa jest dla nas nie do przyjęcia.

Artykuł ten powinien się ukazać, i dobrze, że tak się stało. Mieliśmy niejednokrotnie okazję zetknięcia się z krążącymi w środowisku studenckim opiniami — powiedziałbym nawet — mitami dotyczącymi głównie ustawienia ZSP przez ludzi nim kierujących. Jak w każdej organizacji, również w Zrzeszeniu Studentów Polskich najważniejszym jej elementem są człon-

kowie, a więc studenci, których aktywność i postawa decyduje o tym wszystkim, co można nazwać jej obliczem. Jest to oczywiście truizm, ale bardzo często zapominamy właśnie o prawdach oczywistych

„Klika, która oderwała się w pełni od środowiska, karierowicze, którzy nic innego nie robią, tylko przyznają sobie wyjazdy zagraniczne i stypendia organizacyjne”. Wystarczy, że myśli tak lub podobnie, chociażby jeden członek ZSP i już coś nie jest w porządku. Niestety, sądy te wypowiadają najczęściej ludzie, którzy nigdy nie usiłowali z bliska przyjrzeć się działalności Organizacji, nie mówiąc już o poczuciu współodpowiedzialności za jej program.

Owszem, Rada Uczelniana jest „klika”, bo nią być musi, gdyż w przeciwnym razie byłaby fikcją. „Klika” ta jednak różni się w sposób zasadniczy od innych klik — pochodzi z wyboru oraz nie jest zamknięta. Cotygodniowe posiedzenia Komitetu Wykonawczego Rady Uczelnianej, w skład którego wchodzi przewodniczący wszystkich komisji branżowych RU, i który kieruje bieżącą działalnością ZSP w Uczelni, są otwarte i każdy student — członek ZSP może w nich uczestniczyć. Nie dyskutuje się też na nich, co należy aktualnie zrobić, aby przypodobać się władzom Uczelni lub też zorganizować sobie jakiś wyjazd zagraniczny. Przeciwnie, myślą przewodnią wszystkich dyskusji i decyzji jest świadomość, że Organizacja ta działa wśród studentów i dla studentów. Nie ma ludzi niezastąpionych i nikt z działaczy łącznie z przewodniczącym Rady Uczelnianej nie może zapomnieć o fakcie, że jeżeli grono współpracowników lub też studentów uzna, że jest osobą nieodpowiedzialną, nie wywiązuje się ze swoich obowiązków lub też fałszywie pojmuje rolę i miejsce Organizacji, może zostać bardzo szybko z faktu tego rozliczony. Chodzi o to, aby sygnały

o wszystkich nieprawidłowościach, baglaganie, przejawach dygnitarstwa działaczy docierały poprzez bieżącą informację, a nie w takiej formie, jak zrobił to Autor artykułu, gdyż wartość jej jest wtedy zerowa.

Inna sprawa — akcja zagraniczna ZSP. Kwalifikacje na wyjazdy do krajów zachodnich odbywają się na otwartym plenarnym zebraniu Rady Uczelnianej w formie niejednokrotnie bardzo ostrej i zaciętej dyskusji i jedynymi kryteriami kwalifikacyjnymi są wyniki w nauce, postawa społeczna i ewentualnie zdany egzamin z języka obcego. Tak więc każdy może przyjść i wyrazić swoją opinię, wpływając na decyzje, które będą podjęte. Żaden wyjazd nie miał i nie będzie miał monopolu, czy to na funkcje, czy na jakikolwiek priorytet tylko dlatego, że ma taki czy inny skrót.

Celem tej wypowiedzi nie jest „rozprawienie się” z Autorem artykułu, lecz udowodnienie, że wszystko to, o czym pisze, jest wyssane z palca. „Pół żartem pół serio” skłoniło mnie do otwartego wyjaśnienia tylko pewnych spraw, z których niezrozumieniem niejednokrotnie mieliśmy my, jako działacze, okazję się zetknąć.

Przejęcie na strukturę instytutową ZSP w Uczelni zostało przeprowadzone w celu zejścia z naszą działalnością do grupy, objęcia nią wszystkich studentów (a nie dlatego, że Uczelnia tak „kazała”). Praca ta będzie efektywna tylko wtedy, kiedy każdy członek ZSP będzie posiadał to, co nazwałbym „świadomością organizacyjną”.

Liczymy na każdego, kto zdecydował się wcześniej wstąpić do Zrzeszenia Studentów Polskich, na jego krytyczne ustosunkowanie się do realizowanych zamierzeń, na wysuwanie własnych propozycji, postulatów. Jeżeli chodzi o potencjalnych działaczy, chciałbym po prostu stwierdzić, że czekamy. Czekamy na tych, którzy chcą aktywnie włączyć się w nurt życia studenckiego, którzy mają ambicję wniesienia czegoś nowego w swoje środowisko, czegoś więcej, aniżeli tylko swojej w nim obecności i którzy nie chcą spędzić pięcioletniego okresu w Uczelni będąc „obok”. Po co? Po to, żeby po zakończeniu studiów móc z pełnym zadowoleniem stwierdzić, że zrobili „kawał dobrej roboty”. I właśnie ta satysfakcja jest jedyną i chyba największą nagrodą. A dla takiej nagrody warto wiele poświęcić.

Wojciech Hendrykowski
Wiceprzewodniczący RU ZSP d/s
kultury

SYSTEM B

Onego czasu zabrał się Pan do tworzenia świata. Tworzył dnia pierwszego, drugiego, a dnia siódmego przejrzał Pan, że to co stworzył przez dni sześć, niegodne i fałszywe już jest i usiadłszy na kamieniu krył lico w dloniach i stracił chęć tworzenia. A fałszywy lud rozgłosił, że Pan się zmęczył i zaczął dzień siódmy święcić. I od tego czasu po wtorku jest środa i tak było zawsze...

Ale do rzeczy:

Chodzi o propozycję przejścia z tygodniowego na dwutygodniowy „cykl dydaktyczny” — tzw. system B. Układ taki, obok tego, że najpierw skomplikowałby szalenie życie, pozwoliłby bardziej elastycznie i równomiernie rozłożyć zajęcia, pozwoliłby wygospodarować kilka godzin w cyklu i wprowadzić intensywniejsze zajęcia — np. z języków obcych. Skoro obecnie w tygodniu np. 4 godzin było za mało a 5 za dużo, tworzone tygodnie parzyste i nieparzyste. System B, będący systemem w pierwszej fazie na pewno bardziej skomplikowanym, pozwoli przy powiązaniu tych elementów na wykorzystanie godzin dydaktycznych, gdy

np. 4 godziny nie wystarczą, a 5 będzie o dużo za dużo. W ten czy podobny sposób zaoszczędzony czas można wykorzystać chociażby w sposób następujący: w ciągu dwu tygodni zajęcia z języków obcych trwają w sumie 3 godziny. Dodając wygospodarowany czas np. otrzymamy za dwa tygodnie np. 3 godziny 45 minut. Mając do dyspozycji ten czas można utworzyć trzy zajęcia po 1 godz. i 15 min. np. środa (I tydzień), poniedziałek i piątek (II tydzień).

Pokazałem tylko niektóre możliwości tego systemu, który nie był jeszcze nigdy przedmiotem propozycji i myślę, że sprawa jest warta dyskusji.



ANDRZEJ BOBER

MISTRZ „KRĘCIOŁKA” Z DYPLOMEM POLITECHNIKI

SWIEŻO upieczonego inżyniera, Witolda R., już w pierwszym miesiącu pracy spotkało nie lada wyróżnienie: rozpoczynał dzień z listą obecności pod pachą, którą odnosił z filii stołecznego przedsiębiorstwa komunalnego do centrali. Gdy pracownicy filii złożywszy podpisy na liście, rozkładali papiery na biurkach — on przemierzał rzeźkim krokiem ulicę. W centrali czekał już na niego kierownik kadr, w sąsiednim zaś pokoju — amatorzy „kręciołki”, gry, polegającej na szybkim kręceniu korbką arytmometru. Wygrywał ten, kto przez 30 sekund zrobił najwięcej obrotów... Witold R. nie przepadał za tą biurową rozrywką, ale prawdę mówiąc, nie musiał śpieszyć się z powrotem do filii. Praca tam na niego nie czekała. Dwa razy prosił już o jakieś konkretne zajęcie, ale zawsze słyszał odpowiedź: „zdażysz się pan jeszcze w życiu narobić...” Zamiast więc w filii patrzeć w sufit — wykręcał w centrali przez pół minuty swoich 87 obrotów. Gdy wychodził, żegnali go „panie Wiciu, do jutra”. A dnia następnego już był w formie, dochodził już w pierwszej partii do 100 obrotów. „Talent czystej wody” — mówił wtedy referent od planowania.

Witold R. jako jeden z dziesięciu tysięcy absolwentów wyższych uczelni technicznych w 1969 roku — rozpoczął kilka miesięcy temu swoją pierwszą pracę. Wszystkie biurka w pokoju były zajęte, dostał więc tylko własne krzesło. I po paru miesiącach — nieoficjalny tytuł mistrza przedsiębiorstwa w „kręciołkę”. „Odnoszę wrażenie — mówi — że mój zawód nie jest nikomu potrzebny. Czasem odniosłem korespondencję do centrali, innym razem dadzą mi godzinę popracować przy przepisywaniu faktur, a w ogóle to uczyć się angielskiego”.

Sądziłem, że za tymi słowami kryje się skrywana ambicja do przewrócenia świata do góry nogami, cechująca często młodych, wykształconych ludzi rozpoczynających pierwszy etap praktycznej edukacji zawodowej, najeżonej koniecznością wykonywania prostych i mało skomplikowanych zadań. Ale potem, gdy przejrzałem ankiety rozesłane przez organizację techniczną do inżynierów pracujących pierwszy rok w przemyśle i budownictwie, zacząłem mieć wątpliwości. Czy nie dusi nas przypadkiem nadmiar inżynierów?

Inżynier Janusz B., stażysta w fabryce szczecińskiej, wykorzystywany był w pierwszych pięciu miesiącach pracy do sporządzania zamówień na bilety kolejowe pracowników zakładu.

Inżynier Marian S. rozpoczął edukację zawodową od sprawdzania przepustek przy wejściu na teren fabryki.

Inżynier Arkadiusz W. zaczynał praktyczną naukę swojego fachu od przepisywania na maszynie „rozporządzeń okólnych” dyrektora przedsiębiorstwa. Gdy poprosił o jakieś techniczne zajęcie — skierowano go do działu rachuby, by podliczał listy płacy.

Tych kilka przykładów daje sporo do myślenia. Nie można mieć pretensji do pracodawcy inż. Mariana S., że nie dał mu — jako pierwszego zadania — opracowania projektu energetycznego elektrowni w Koziennicach. Ale przecież na Koziennicach nie kończą się zapewne nasze inwestycyjne zamiary w energetyce. Czy do tej pracy jednak, za lat kilka, przy takim początku, inż. Marian S. będzie przygotowany? Czy zdola zdobyć doświadczenie, by stanąć przy desce projektanta? Okres jego ustawowego stażu pracy nie pozwala na przekonaniem odpowiedzieć na te pytania twierdząco.

Wokół stażu pracy inżynierów narosło wiele wątpliwości. Okres ten, trwający od roku do dwóch lat, powinien dać absolwentowi politechniki pełną możliwość poznania zakładu pracy. Jeszcze bez prawa pobierania samodzielnych decyzji, inżynier musi zapoznać się z działalnością podstawowych oddziałów fabryki, nauczyć się orientacji w praktycznych zawiłościach procesów produkcyjnych. Musi poznać fabrykę „na wylot”, szczególnie zaś te jej działy, które będą najistotniejsze dla jego dalszej pracy. W tym okresie musi być umiejętnie „kierowany” przez doświadczonych fabrycznych fachowców, nie zaś obdarowywany wspaniałomyślnym prawem do patrzenia w sufit. Stara to prawda, że od dobrego startu zależy dalsza kariera zawodowa. Tymczasem wielu z corocznych 10 tysięcy stażystów uważa swój pierwszy rok pracy za stracony.

Jest jeszcze jeden aspekt tej sprawy. Choć zarządzenia określają staż pracy na okres 1—2 lat, zezwalają one jednocześnie na skracanie stażu w uzasadnionych przypadkach. Rozumiem, że ten „uzasadniony przypadek” oznacza nic innego, jak dobre opanowanie przez stażystę w krótszym czasie wiedzy o zakładzie. Możliwe jest to jednak tylko wtedy, gdy mamy do czynienia z właściwą organizacją stażu. Tymczasem, jak świadczy opinie fachowców, zwyczaj uzasadnionego skracania stażu pracy, zamiast stać się regułą, jest obecnie rzadkim wyjątkiem.

I w tym miejscu wypada nam powrócić znowu do wciąż aktualnego pytania: czy wykorzystywanie inżynierów w naszej gospodarce nie stoi w sprzeczności z opinią na temat deficytu kadr inżynierskich? Czy obliczenia Komisji Planowania, wg których w 1975 r. będzie nam brakować ok. 27 tys. osób z wyższym wykształceniem technicznym, odpowiadają prawdzie? Jeśli wychodzą one z założenia, że, powiedzmy, za lat 7 będziemy budować dwa razy więcej mieszkań i dlatego potrzebnych będzie 2 razy więcej inżynierów budowlanych — to są one prawdziwe. Ale jest to tylko czcza arytmetyka, nie uwzględniająca np. faktu, że już dziś mamy relatywnie ponad 2 razy więcej inżynierów niż wiele innych uprzemysłowionych krajów. A przecież i dziś rozdieramy szaty — brakuje nam inżynierów!

Nie o deficycie inżynierów trzeba więc chyba mówić. Tylko o deficycie racjonalnej polityki wykorzystania posiadanej kadry. Nie deficyt inżynierów

przede wszystkim stwarza trudności w rozwoju polskiej gospodarki, ale wady w gospodarowaniu tym inżynierskim kapitałem.

Potwierdza to analiza czasu pracy inżynierów, wykorzystywanie ich wiedzy w fabrykach, potwierdza to także niefrasobliwy stosunek wielu jednostek gospodarki do sprawy stażu absolwentów politechnik.

Czy po to trwa na wielu „szczepłach” ostra walka o stworzenie możliwości nauki dla nowych adeptów politechnicznych sztuk, by już od samego początku, od pierwszego kroku inżyniera w fabryce — tracić szansę wykorzystania jego wiedzy, ambicji i zapału? Czy po to wydaje się prawie 200 tys. złotych na wykształcenie inżyniera, by stawał się on potem mistrzem gry w „kręciołkę”?

Kiedy zamiast stawiania tylko ilościowych żądań w sprawie liczby inżynierów, dokonana zostanie rzetelna próba rozważenia problemu głębiej i tknięcia tych ogromnych rezerw, które istnieją w organizacji? Kiedy inżynier Witold R. odczuje prawdziwe zainteresowanie przedsiębiorstwa jego dyplomem politechniki?

P.S. W przypadku czyjegoś zainteresowania się tym zjawiskiem, służymy dalszymi szczegółami zarówno o inżynierach wspomnianych w artykule, jak i o innych, podobnych faktach.”

w: Życie Warszawy z dnia 11—12 stycznia 1970 r.

MARIAN MAZUR

DLA KOGO NAUKOWIEC PRACUJE?

Dla kogo naukowiec pracuje? Dla społeczeństwa, rzecz jasna. Na tym ogólniku, niestety, jasność się kończy.

Dla kogo naukowiec pracuje konkretnie? Stawiając to pytanie mam na myśli nie odbiorców, którzy pokwitują pracę naukową, lecz użytkowników, którzy z niej skorzystają. Kwitujących bowiem łatwo wskazać palcem, ale czy to są użytkownicy? (...)

„(...) Jeżeli badania naukowe są finansowane przez społeczeństwo — a tak się dzieje z zasady we współczesnej organizacji nauki — to zrozumiałe jest dążenie instytucji finansujących do tego, żeby badania były rentowne, tj. żeby przynosiły korzyści ekonomiczne przewyższające koszty badań. (...)”

„(...) Pierwszym środkiem mającym to zapewnić było wprowadzenie planowania badań naukowych we wszystkich instytucjach naukowych. (...)”

„(...) wszystko zdawało się wyglądać jak najlepiej: plany badań były układane zgodnie z wymaganiami formalnymi, terminy ich wykonania były dotrzymywane. Mimo to, z czasem stawało się widoczne, że wpływ działalności instytucji na całość gospodarki był mało odczuwalny.

Aby ten stan poprawić, do zasady planowości dodano zasadę odpłatności. (...)”

„(...) Na zakłady przemysłowe nałożono obowiązek modernizacji produkcji (aby je skłonić do zamawiania potrzebnych do tego prac w instytucjach), wprowadzono fundusz postępu technicznego (aby się nie wykrecali brakiem pieniędzy na ten cel), i nakazano jego wydatkowanie jako zadanie planowe, którego niewykonanie było za-

grożone utratą premii. Zastosowano więc sposób oparty na przeświadczeniu, że się swatana para pocałuje, gdy wszystko inne będzie zakazane.

A jednak bariera nakazów okazała się nie dość szczelna. Wprawdzie zakłady przemysłowe wydawały pieniądze z funduszu postępu, w wysokości zaplanowanej, ale zamawiały w instytucjach prace raczej mialkie, które by wprowadzały w produkcji jak najmniejsze zmiany. (...)”

„(...) Bądźmy jednak sprawiedliwi dla kierownictwa fabryk. Na konferencji jest się przez parę godzin, a z załogą przez cały rok. Załoga musi dostać premie, jeżeli wykona plan. A wykonanie planu jest najpewniejsze, gdy wszystko pozostaje po staremu. Każdy wie co ma robić i czego się spodziewać. Wszelkie nowatorstwo może im ten stan tylko popsuć. Naukowcy będą robić w fabryce pomiary, wybierać miejsce na zainstalowanie nowej aparatury, dokonywać zmian próbnych w dotychczasowej pracy, zadawać pytania, żądać tego i owego, przeszkadzając robotnikom w pracy i zabierając czas inżynierom. Ale to jeszcze nic w porównaniu z piekłem, jakie się zacznie po zainstalowaniu zmodernizowanego urządzenia. Najpierw trzeba będzie odstawić stare. Potem dostroić nowe. Z początku nic nie będzie wychodzić, ale naukowcy po jakimś czasie uporają się z tym. Potem zacznie się przyuczanie robotników mających obsługiwać nowe urządzenie, a nikt nie lubi się oduczać tego, w czym nabrał wprawy i robił bez wysiłku umysłowego przez lata całe. Gdy wreszcie

przyuczona załoga rozpocznie pracę przy nowym urządzeniu a naukowcy odjadą, coś się w urządzeniu rozstroi i nikt nie będzie wiedział ani co robić: szukać samemu przyczyny, czy zwywać naukowców na pomoc, ani jak długo potrwa przerwa. Kiedy w końcu wszystko zostanie doprowadzone do prawidłowego stanu, okaże się, że zamiast znacznego przekroczenia planu nie został on w ogóle wykonany i że-gnają premio. Rozpoczną się targi (i z-targi) ze zjednoczeniem o uznanie przeszkód wynikłych z rozruchu nowego urządzenia. A gdy i to minie, wtedy plan zostanie podwyższony na stałe — przecież po to wydano pieniądze na opracowanie nowoczesnego urządzenia. W rezultacie po okresie perturbacji, załoga będzie zarabiać tyle, co przedtem, jeżeli wykona plan (ten podwyższony) czyli — jak w piosence — „Po co nam to było?” (...)”

„(...) Na tym tle, po planowości i odpłatności, pojawiło się trzecie hasło: wdrażanie.

Ale co to właściwie jest wdrażanie? Czy lekarz wydający receptę pacjentowi musi ją „wdrażać” w aptecę? (...)”

„(...) Wdrażanie pomysłów naukowych w przemysł to przecież nic innego niż popychanie przedsiębiorstw przemysłowych, żeby wreszcie zechciały wykorzystać to, co dla nich w nauce zrobiono. Przedsiębiorstwo opiera się, ale nie może tego otwarcie powiedzieć, więc wysuwa trudności. (...)”

„(...) czy naprawdę trzeba wprowadzać postęp w przemyśle tak, jak się dziecku wkłada łyżeczkę z kaszką do buzi? (...)”

„(...) Przyczyną tych trudności są pewne elementy zarządzania nauką i przemysłem, zniechęcające instytucje i zakłady przemysłowe do ryzyka. Mają one zapewnić „wielką stabilizację”, tj. zapobiegać zakłóceniom gospodarki. Jednak w dążeniu do tego słusznego celu stworzono takie ramy przepisów, które w instytucjach i zakładach przemysłowych wytworzyły „małą stabilizację”, przeciwdziałającą w nich wszelkim zakłóceniom, w tym również takim, które mogą powstawać przy próbach wprowadzania postępu. (...)”

„(...) Tymczasem za trudności chętnie obwinia się naukowców. Poucza się ich, że nauka powinna być użyteczna. Zapomina się tylko, że „użyteczność nauki” nie istnieje, że wyrażenie to nic nie znaczy, jeżeli je brać dosłownie. (...)”

„(...) Istnieje użyteczność nauki dla użytkowników, albo, co znaczy dokładnie to samo, korzyść użytkownika z nauki. Jeżeli nie ma sprzężenia między nauką i użytkownikiem, to nie ma ani użyteczności nauki, ani korzyści użytkownika. (...)”

„Nauka również wymaga u nas nowej organizacji. Ale w organizowaniu nauki nie można załatwić tylko pewnych spraw, a innych nie, podobnie jak nie można dać żołnierzom karabinów bez amunicji, albo amunicji bez karabinów, w obu bowiem przypadkach wojna będzie przegrana.

W walce o postęp trzeba robić odkrycia naukowe. Przedtem jednak trzeba odkryć naukę. I naukowców.”

Marian Mazur, Dla kogo naukowiec pracuje? w: Kultura z dnia 22 marca 1970 r.

gdy leżę
pod bandażem świtu
albo
pod skórą
tego kaleki
którego wczoraj
ułożyli
na mojej ranie
czuję
przyływ morza.
i rozwinięte żagle żył
i szum mew w palcach
i
czuję
jak przez brzeg śmierci
skrada się moja stopa
a motyl
w napięciu
promieni
zastyga
i
łany powietrza
zamierają
X
nadsłuchuję ziemi
a tu do krwi pukanie nagle
ktoś zmylił ścieżki
to wystraszone pisklęta
z gniazda moich nerwów
wypadają
i grzędy pełne pelargonii
i tak rośnie strach
przy drodze poezji
odchodzą ode mnie białe drzewa
dwuwierszem w poemat nocy
i cień to czy twoja halka

Akty (fragment)*

otarła się o liście mroku
i jak cię przywołać
przywidzenie maków
powiew smutku
wschodzący jaśmin
jak mam cię objawić światu
stałe nieobecna
u źródła warg
przeciera się mgła
nie kaleczcie ciszy
idącej
od ziół języka
tam przesuwają się pejzaże śmierci
krajny mojego głodu

XI

nie znam granic siebie
co otworzę usta
już wyczekane pejzaże
wychodzą
z moich butów

skóra mi schodzi
z pnia sosny
gdy krzyczę
dłoń horyzontu pęka
i idą mnie uspokajać
białe noce
nie mogę siebie objąć
co zatrzymam oddech w piersi
wymykam się ręką
co ugrzęznę w oku
już jestem na siodle burzy
zamkną w więzieniu
z historii wylażę
wrzucą do lochów
do kłamstw ich pukam
powieszę na drzewie
dziuplę opuszczam
wsadzą do zdania
pieśnią się wymknę
jak się zgadzam z sobą prawym
już mi lewy bokiem wychodzi
jak odwracam siebie od środka
już wewnątrz pokorniej
widziałem siebie nad Azją
choć byłem tylko w pięcie
wyzwalałem opętanych
choć nie mogłem się ruszyć z gniewu
broniłem słabych
choć miałem związane słowa
gdy byłem sam
rozmawiali we mnie inni
gdy schodziłem ze schodów
mijałem siebie idącego do góry

STANISŁAW SROKOWSKI

* fragment z książki pt. „Akty”, która ukaże się w 1971 roku.

DO YOU SPEAK ENGLISH?

ciąg dalszy

Jeśli zacznę od stwierdzenia, że informacja jest istotna (o ile nie najistotniejsza) dla tzw. postępu technicznego, to z pewnością wywołam u Czytelników uśmiech politowania. Początek lepszy, gorszy — byle do końca... Słowem — chodzi o słowa, o ich początek, pole semantyczne, chodzi o to, czy posługujemy się na co dzień — o język.

Nasza codzienność uwarunkowana jest naszymi zajęciami; najczęściej mówimy o tym, co stanowi przedmiot naszych zainteresowań, pracy. Oprócz tzw. języka potocznego, wytworzyły się skarbnice terminologii fachowej, które dla specjalisty są przede wszystkim środkiem do zdobywania i przekazywania informacji.

Ile i jak możemy poznać? — Pytanie to zadaje każdy, kto pragnie być w centrum wydarzeń, dla kogo jutro jest dzisiaj, a o nauce mówi częściej niż na trzy dni przed sesją.

Czasem wzdycham do czasów, kiedy to drucik, może trochę szkła, jakiś związek chemiczny i już... eureka!!! Dzisiaj jakieś maszyny cyfrowe, komputery, a ja — empiryk, odkrywca? Jakie są moje szanse, a raczej moje możliwości? Wiem już, że trzeba korzystać z cudzego doświadczenia, ale po co mam sięgać, co czytać? Nie wszystko. Opierając się na źródle pewnym ośmielam się poinformować, że liczba czasopism (periodyków różnego typu), które ukazują się na naszym globie w ciągu roku, waha się w granicach 80 000 tytułów. Aby móc korzystać z najważniejszych, musielibyśmy znać około 28 języków.

Poznanie faktycznego stanu nauki wymagałoby znajomości około 160—170 języków. Przy tych cyfrach tracimy powoli uczucie posiadania wiedzy jako takiej w ogóle. Na szczęście nie wszystko jest najważniejsze, a języki tzw. światowe (ang., fr., niem., ros.) wystarczają, aby czerpać większość informacji. Jest sprawą oczywistą, że potrzebni są także specjaliści od języków mniej popularnych.

Skoro stwierdziliśmy już konieczność znajomości języków obcych, zastanówmy się nad metodami ich opanowania.

Jedno jest pewne — lubimy coś nadzwyczajnego, coś co imponuje, fascynuje, nie lubimy natomiast szarżyzny, codzienności, trudu. Nie chcę powiedzieć, że prawdziwy człowiek nauki winien być ascetą, młoteczkiem i kowadłkiem bez polotu. To my wybieramy drogę i my wybieramy środki i nie wolno pozbawiać siebie uczucia

satysfakcji, bez której z pewnością nie byłoby zapału. Imponująco brzmią niewątpliwie terminy: programowanie, kursy intensywne, nowoczesne, naj... Prawdą jest, że wnoszą one wiele dobrego, że umożliwiają naprawdę szybkie i dobre opracowanie języka obcego, ale — nie bez wysiłku i systematyczności uczącego się.

Byłoby grubym nieporozumieniem sądzić, że metody te wyzwolą nas od pracy i zmienią lekcje w cudowne sny. Metody te mają zapewnić nam przede wszystkim wiedzę zaprogramowaną w sposób optymalnie dobry, bez elementów niepożądanych i zbędnych. Wiele jest chyba prawdy w stwierdzeniu, że jeżeli uczymy się źle, to popełniamy większy błąd, niż gdybyśmy nie uczyli się w ogóle.

Szczupłe ramy czasowe i ogrom wiedzy zmuszają nas do ekonomiki pracy,

nauki. Programowanie nauki języka obcego musi więc obejmować materiał sensu stricto ale i jego kolejność, czas i sposób aplikacji.

Kiedy zaczynamy mówić o nauce języka obcego, musimy ustalić jej cel. Jest to nauka bardzo czaso- i pracochłonna, ale przecież można założyć pewne kryteria, które pozwolą na wykorzystanie włożonej pracy.

Najbardziej ogólny podział zakłada bierne i czynne opanowanie języka.

Znajomość czynna — to pisanie, mówienie, czytanie. W celach turystycznych, towarzyskich itp. uczymy się najpierw słuchać i mówić; czytanie i pisanie może być tutaj sprawnością drugorzędną. Jeżeli celem naszej nauki jest korzystanie z literatury, to najpierw uczymy się czytać i rozumieć — inne elementy można pominąć.

Te „amputowane” fazy nauczania

Fot. W. Kubica



przyczynią się niewątpliwie do szybszego przyswojenia sobie wiedzy dla nas najbardziej użytecznej, ale i ograniczają nas jednocześnie.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że przy językach, których „kształt foniczny” znacznie odbiega od języka polskiego (np. język angielski) taka „amputowana” forma nauczania może pozbawić nas równocześnie szansy opanowania tegoż języka w sposób opty-

malnie poprawny. Dzieje się tak dlatego, że czytając — nawet tylko wzrokowo — nadajemy poszczególnym słowom jakąś formę dźwiękową, utrwalając ją jednocześnie. Czyżby stwierdzenie to miało poddać w całkowitą wątpliwość dopiero co proponowane formy nauczania? Nie, ale pod warunkiem, że pojęć tych nie zrozumiemy skrajnie.

Prawda leży, jak zwykle, pośrodku:

opanować podstawy a potem dać pole dla specjalisty.

Każdy więc kurs języka obcego musi rozpoczynać się od języka potocznego z uwagą głównie zwróconą na opanowanie inwentarza fonologicznego, podstawowego oraz struktury danego języka obcego.

AKRIM

MIEDZY ŻYCIEM A ŚMIERCIA

Niewątpliwie należałoby jeszcze zwrócić uwagę Czytelników na dwie ubiegłoroczne powieści, zaliczające się z całą pewnością do prozy trudnej, przeznaczonej raczej dla wyrobionego odbiorcy. Obie te pozycje dość szybko zniknęły z półek księgarskich, chociaż ich pojawienia nie zapowiadano z takim szumem reklamowym, jak na przykład Joyce'owskiego „Ulysses”. Ukazały się one w dwóch popularnych seriach wydawniczych: „Derwisz i śmierć”¹⁾ w PIW-owskiej serii „Współczesna Proza Światowa”, a „Kusiciel”²⁾ w Czytelnikowskiej „Nike”. Oba arcydzieła — z całą odpowiedzialnością można użyć tego terminu — poruszają sprawy ostateczne, głęboko humanitarne, a ich problematyka zalicza się do najtrudniejszych w literaturze — wymaga bowiem nie tylko wybitnego talentu, ale głębokiego życiowego doświadczenia. Zarówno Broch jak i Selimović podjęli się tych tematów po pięćdziesiątce, a więc w wieku, kiedy życie zaczyna zmagać się z nieuchronnie zbliżającą się śmiercią, ale jest jeszcze czas na refleksje...

»Mów: „Prawda się okazała, a kłamstwo, jak lekka para, znikło.”«

(Koran, sura 17, Nocna podróż, w. 83)

Achmed Nurudin — brat zakonu derwiszów — narrator spisanej w formie zbeletryzowanego pamiętnika, a zarazem bohater powieści Meša Selimovića, zostaje za przyczyną swego brata wpłany w bliżej niewyjaśnioną aferę polityczną. Od tej chwili jego kontemplacyjna, bezkonfliktowa egzystencja została wytrącona z powolnego rytmu, świątobliwy derwisz, znający życie poprzez pośrednictwo świętych ksiąg, postawiony jest w sytuacji, która zmusza do konfrontacji harmonii prawd spisanych, z brutalnym dysonansem prawd rzeczywistości, dotąd nie docierająca do jego zacisznej celi zakonnej. Derwisz trochę poniewczasie zrozumiał siłę więzów rodzinnych, toteż siła uczuć braterskich wystąpiła z taką intensywnością w chwili, kiedy — o czym nie wiedział — było już za późno. Narazając własną świątobliwość, a uprzywilejowaną pozycję, stara się o uwolnienie aresztowanego brata w czasie, kiedy ten już nie żył. A kiedy wreszcie prawda dotarła do jego świadomości, niezbyt zorientowany w koteriach politycznych, w sposób nieświadomy powoduje polityczną demonstrację kazaniem wygłoszonym w meczecie w czasie uroczystości żałobnych, odprawionych na intencję brata. Późniejsze prześladowania są już tylko konsekwencją, a derwiszowi pozostała wiara, że w końcu jednak „prawda się



okaże, a kłamstwo zniknie jak lekka para”.

Oczywiście, to co wyżej napisałem, nie pretenduje do miana streszczenia. Utwór jest bowiem wielowątkowy, zgromadzone w nim całą plejadę żywo i z nerwem namalowanych postaci, a problematyka jest tak zagęszczona, że każda strona wymagałaby kilkunastu omówień. Selimović podejmuje w powieści odwieczne, ponadczasowe problemy moralne i etyczne, takie jak: przyjaźń i wierność, odwaga i ludzka godność. I mimo że podjął temat tak trudny i powiedział tak wiele, czytelnik odczuwa, iż nie powiedziano tu wszystkiego, co autor zgromadził w swojej świadomości, że wszystkiego nie był w stanie powiedzieć — i ta prawda budzi tym większe zaufanie do autora, który w okresie powszechnej degradacji humanistycznych wartości w sposób tak heroiczny postawił problem ludzkiej godności.

»Niech syn twój, bohater, od gór tych
[stroni,
Zabije go karzeł w srebrnej koronie!«

Narratorem jest tu wiejski lekarz, który — podobnie jak derwisz — spisuje w zbeletryzowanej formie swoje pamiętniki. Okazuje się, że forma ta jest szczególnie nośna dla wyrażenia i ustosunkowania się do spraw ostatecznych. Broch, związany z ekspresjonizmem, kreuje sytuacje maksymalnie zagęszczone i poniekąd wyizolowane — struktura „Kusiciela” przypomina strukturę „Zamku” Kafki.

Do wsi (dzieli się ona na Górną i Dolną Wieś) przybywa wagabunda Mateusz — tytułowy kusiciel — i swoją ekscentryczną, subiektywną a krzykliwą działalnością zaostrożone antagonizmy, powoduje nowe konflikty, usiłuje wskrzesić pogrzebane przez czas niefunkcjonalne już relikty przeszłości. Udaje mu się — jego sposób przekonywania sprawia wrażenie kaznodziejstwa — zwerbować dla swoich poglądów jednego z bardziej wpływowych gospodarzy oraz zgromadzić wo-

kół siebie — co wydawać się może dość paradoksalne — nieco młodzieży. Umiejętnie, w sposób iście demagogiczny i totalny (narzuca się tu analogia z faszystowską metodą dochodzenia do władzy — ba, nie brak tu nawet elementów antysemityzmu) dąży do władzy nad wsią. Główną przeszkodą na tej drodze jest miejscowa matrona, uchodząca za znachorkę i czarownicę: matka Gisson, oraz zdający sobie sprawę z niebezpieczeństwa, nienależący jednak „do wsi”, wiejski lekarz. Oczywiście, Mateuszowi trudno byłoby działać w samotności, toteż sprowadził do wsi swojego kumpla, Wencła, niezmiernie silnego karła, człowieka do specjalnych zadań. Kością niezgody między mieszkańcami Górnej i Dolnej Wsi jest unieruchomiona od lat stara kopalnia kruszcu. Sprawa uruchomienia tej kopalni, ukrytej we wnętrzu góry, stanowi oś dramatyczną utworu.

Istotną zaletę stanowi tu specyficzny klimat i spiralna, wielowątkowa konstrukcja. Broch jest mistrzem w budowaniu atmosfery nabrzmiałej lękiem i niesamowitością. Wyraziste i silnie zindywidualizowane postacie budzą grozę swoimi namietnościami i konsekwencją postępowania. Każdy problem — to problem o najwyższej wadze: życie i śmierć przeplata się z żądzą władzy, z chęcią wydarcia światu jego tajemnic. Czytelnik zostaje wciągnięty w akcję i zmuszony do uczestniczenia w wydarzeniach, do zajmowania stanowiska wobec konfliktów rozgrywających się poniekąd z jego — Czytelnika — udziałem; tym samym też postawione przez autora problemy wywołują zastanowienie.

... i refleksje te zakiełkują w Czytelniku, ponieważ trudno pozostać obojętnym wobec własnych spraw, wobec świata, w którym przyszło nam żyć. Mam nadzieję, iż tych Czytelników, którzy w literaturze pięknej szukają czegoś więcej aniżeli rozrywki, nie zniechęci ani obszerność, ani trudność zasygnalizowanych wyżej pozycji — trud ten naprawdę warto podjąć.

Gwoli wyjaśnienia: powieść Selimovića datowana na rok 1969 faktycznie na rynku księgarskim ukazała się z początkiem roku 1970.

ERNEST DYCZEK

- 1) Meša Selimović: *Derwisz i śmierć*. Przełożyła z serbsko-chorwackiego Halina Kalita, PIW, 1969, Warszawa, s. 434.
- 2) Herman Broch: *Kusiciel*. Przełożyła Edyta Sicińska, Czytelnik, Warszawa, 1970, s. 886.



KATACHREZA

Trzasnęło chłodem w Europę, biegun położył białą dłoń na polach, łąkach, pokrył czapą futrzaną drzewa — ponurymi kanionami ze skrzypieniem przemrożonych butów gonili czas, rozrabiając czerniejący miał mrozu; zostawili za plecami przeszłość nie oglądając się, jakby tamci, co już odeszli, mieli moc anihilującą zło z dobrem w kwant nicości — a krzyże ramzły, wyciągały martwo skostniałe ramiona, chwytając chłód w próżnię swoich wnętrzności; mrok zapadał szybko, śmigły promień słońca umykał w mgłę, pozostawiając roztracone powietrze; śpięła je z powrotem klamra mroku.

Wracasz opatulony szczelnie ciemnością; szum pod czaszką, poplątana nić myśli zawieszona w próżni — mrok siada na twarzy, na ramionach, wciska w ziemię, chwytając za gardło, przestrzeń wypełnia gęstą mazią a oni dalej śpiewają: — Dziś do ciebie przyjść nie mogę... — nie wiesz, czy się cieszą, czy też smuć, bo barwa głosu grzęźnie w ciemnościach, tylko zapach alkoholu autentyczny: musieli ich wpierw wygłodzić, potem spoić i wreszcie wypuścić — łopotali czarnymi skrzydłami lecz nie unieśli się w górę, krew jak ołów obciążała im nogi, nie pomogły

czytane na głos modlitwy — Katharsis! — zawył i targnął błonowatym skrzydłem. — Imprecatio! — dodał, ale jeszcze nie odleciał.

— Ne varietur — odrzekli słabnącymi głosami, a on przykładając do ust rozcapierzoną dłoń szeptem zapytał: — Tapeinosis? — Wzruszyli ramionami.

Potem przywiał z północy zapach spalenizny, zgasła iskrę i ziarno popiołu.

Płynęły wieści pod prąd rzeki — zawsze wierna nie zapominała o niczym; jak zwykle służyła ludziom, nie naruszona w swojej przyjaźni, przynosiła posłady zasłoniętych krepą twarzy, niedogłosy krzyków, a kiedyś przyniosła jedną łzę słoń i gorzką niby ziarno piołunu, wyrzuciła na brudny piasek i czekała w milczącym skupieniu, ale nikt nie nadchodził, chociaż przechodziło wielu — skrzypiały buty, zgłoski układały się w przekleństwo, wreszcie ktoś rozduśił butem łzę; jej gorzyc poznała tylko ziemia. Wtedy rzeka zmarszczyła czoło i stało się — rozgniewany pan chłodów skuł ją lodową powłoką... leży teraz martwo, spętana połyskliwym powrozem, w kajdanach uczynionych z własnego ciała... skamieniała ruchliwość, martwota — ale ty wiesz, że pod grubą warstwą lodu płynie wartki nurt; nic go nie

zatrzyma ani nikt, daremnie dłoń chłodu ścisła banieczkę termometru, oszronione mięśnie napina, nurt płynie niezwyciężony, bo w nim jest miłość.

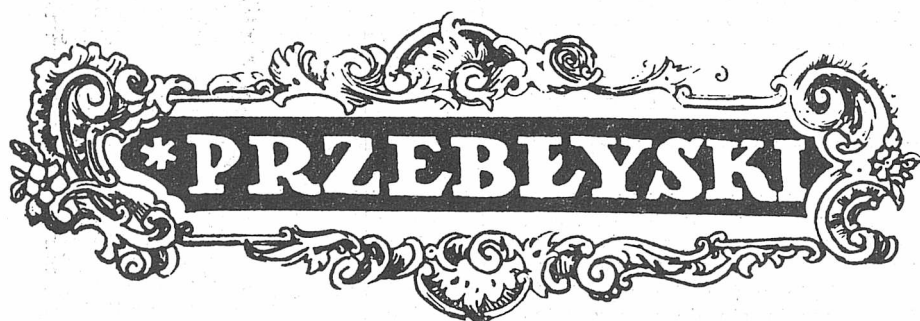
Na rzesach pozostało jeszcze nieco tuszu, puder biały plamką na policzku, w uszach pogłos wylatujących korków szampana i bicie zegara. To nie czas się zatrzymał a myśl — krążyła szara nad głowami, kąpała się w słońcu i w ciemnościach, hartowała w płomieniach, potem przysiadła zmęczona na wieszaku, gdzie w kłapie niby pocisk tkwił kotylion. Patrzyłeś jak spływają wężykiem wstążki, zieleń migotała powidokiem w oku; to były strużki zielonej krwi... znowu odwróciłeś głowę, nie odpowiadał ci ten zapach, wolałeś smak przepalanej dziczyzny, a tamtym wypadł z ręki katechizm, poczuli się bezradni, choć dalej łopotali skrzydłami i zamiast unosić się w górę — grzęzli coraz bardziej. — Oczyszczenie! — zawył i targnął błonowatym skrzydłem. — Przekleństwo! — dodał, ale jeszcze nie odleciał.

— Nie należy zmieniać — odrzekli słabnącymi głosami, a on przykładając do ust rozcapierzoną dłoń szeptem zapytał: — Pokora? — wzruszyli ramionami.

Potem przywiał z północy zapach grozy. Zgasłe westchnienie przywiał i ziarno oczekiwania.

Idziesz otulony szczerze ciemnością; dudnienie pod czaszką, zasupłana myśl unosi się w pustce — mróz osiada na twarzy, na ramionach, wciska w ziemię, chwytając za gardło, przestrzeń wypełnia gęsto kłującymi igielkami a oni dalej śpiewają: — Dziś do ciebie przyjść nie mogę... — nie wiesz, czy się cieszą, czy też smuć, bo barwa głosu grzęźnie w kryształkach chłodu; w ogóle niczego nie wiesz, a krzyże nadal obejmują zeszytniałymi ramionami skrzypiącą przestrzeń; nie wiesz — ale się nie martw i bez twojej wiedzy przyjdzie odwilż, powieje ciepłym wiatrem nawet z północy.

TUTMOZIS



Dobrze, że nie każda bezsenność jest płodna.

Życiorysy są bardziej interesujące, niż ich posiadacze.

Już nie ta epoka, nie ten kalendarz, nie ta data, tylko wciąż za pięć dwunasta.

Czasami pije się aż do dna człowieka.

Aforyzm — to drobiazg. Jak każdy atom.

Jaka jest cena warta każdej innej?...

Przyroda gra w kości z czasem.

Z faktów należy wyciągać wnioski. Z wniosków wynikają fakty.

Tłok, to nie kwestia ilości, ale organizacji.

Człowiek jest niezniszczalny, tylko ta materia...

Już tak trudno się dogadać, że w ogóle się nie chce mówić.

Niewłaściwy człowiek, ale na jakim stanowisku!

Lepiej zapobiegać powieszeniu, niż się odcinać.

Docieklivość uczonych często gubi nary, ale częściej ich samych.

Najbardziej liczy się zdanie aforysty.

Dbaj o poziom swego kieliszka.

Summa summarum: kwota zebrana w czasie sumy.

Palących problemów nie można ugasić strażacką sikawką.

Jest i taka wada wzroku: nie dostrzega się człowieka.

Swoboda jest chlebem dla umysłu.

Podaj cegłę, podaj wapno, wytłumacz się z tych usterek...

Ciekawskie domy mają więcej okien.

Szalejemy — kochając; wariujemy bez miłości.

Życzliwi są niedelikatni, za to nieżyczliwi potrafią robić najsztubtelniejsze świństwa.

HENRYK JAGODZIŃSKI

Po raz VII

W dniach 18–20 grudnia 1970 roku odbyły się „Łódzkie Spotkania Teatralne” — ostatnia impreza kulturalna ZSP w roku XX-lecia Zrzeszenia Studentów Polskich. O spotkaniach rozmawiam z wiceprzewodniczącym RU ZSP Politechniki Wrocławskiej d/s kultury, Wojtkiem Hendrykowskim, który jako obserwator był ich uczestnikiem.

— *Jaki jest cel Łódzkich Spotkań Teatralnych?*

— Impreza ta jest przeglądem konkursowym najciekawszych spektakli teatrów studenckich, zrealizowanych w ciągu ostatniego roku. Powołana przez Biuro Organizacyjne Komisja Kwalifikacyjna po obejrzeniu zgłoszonych przedstawień dopuszcza najlepsze z nich do przeglądu.

— *Może kilka słów o historii Łódzkich Spotkań i o udziale w nich teatrów wrocławskich...*

— Pierwsza impreza odbyła się w Łodzi w 1963 roku i nosiła nazwę: Ogólnopolski Festiwal Teatrów Studenckich. Nagrodę Festiwalu zdobył „Kalambur” za montaż poetycki. W roku następnym nazwę zmieniono na Łódzkie Spotkania Teatralne, która pozostaje aktualna do dzisiaj. Jury przyznaje główną nagrodę dla najciekawszego przedstawienia roku. „Kalambur” odniósł sukces po raz drugi w roku 1965 spektaklem „Szewcy”. W roku następnym znakomicie zaprezentował się STP „GEST”, którego program pt. „Dokąd?” został uznany za najciekawsze przedstawienie roku 1966. W 1969 r. spotkania zostały pozbawione przeglądu konkursowego w związku z dużą ilością festiwali odbywających się w Polsce.

— *Ile teatrów i z jakimi spektaklami przyjechało w tym roku do Łodzi?*

— Komisja kwalifikacyjna VII LTS dokonała przeglądu 21 spektakli, spośród których zakwalifikowała do udziału 11. Były to najciekawsze propozycje teatrów studenckich ostatniego roku. Najliczniej, obok łódzkiego, reprezentowane było środowisko wrocławskie („Kalambur”, STP „Gest”, ST „Kaziel”). Z Krakowa przyjechały dwa znane teatry: „STU” i „Teatr 38”; z Poznania — ST „8 Dnia”; z Lublina — „Gong”.

— *Które spektakle uznano za najlepsze?*

— Jury przyznało główną nagrodę roku widowisku teatru „STU” z Krakowa, zatytułowanemu „Spadanie”, które było — obok przedstawienia „Kalamburu” — „W rytmie słońca” — najciekawszym spektaklem również w ocenie publiczności. Nie będzie w tym przesady, jeżeli stwierdzę, że bardzo podobał się spektakl STP „GEST” pt. „Hyde Park”, za który J. Winniczek i zespół teatru otrzymali nagrodę za aktorstwo a Andrzej Leparski za reżyserię.

Z innych wyróżnień, jakie zdobyło środowisko wrocławskie, należy wymienić nagrodę dla Bogusława Litwińca za reżyserię i opracowanie dramatyczne „W rytmie słońca”.

— „Spadanie”

— czyli o elementach wertykalnych i horyzontalnych w życiu człowieka współczesnego — jest widowiskiem opartym na motywach poematu Tadeusza Różewicza pod tym samym tytułem. W scenariuszu wykorzystano teksty Ernesta Brylla, Allena Ginsberga, Maksyma Gorkiego, Ryszarda Dobrowolskiego, J. P. Sartre’a oraz teksty wywiadów między innymi z F. Arrabalem, najemnikami białymi, teksty manifestów młodego teatru zachodniego oraz reportaże, felietony polskiej prasy. Wynika stąd, że twórcy spektaklu starali się poruszyć w artystycznej formie cały szereg problemów, traktując widowisko jako swój głos w dyskusji o sytuacji młodego pokolenia we współczesnym świecie — „... pokazujemy jak głosy „upadłych na dno” bohaterów Dostojewskiego są nieczym w zestawieniu ze świadectwami zbrodni współczesnego człowieka (Wietnam, Biafra, Bliski Wschód), że erotyczny protest, którego linia wiedzie od Saganki do rozbieranki najbardziej „rewolucyjnych” spektakli jest po prostu tak śmieszny i naiwny, jak nauki moralne Mao dla twórców chińskiej rewolucji kulturalnej, „że kreowany na idola protestu Arrabal okazuje się najzwyklejszym kabotynem”.

— *Inne spektakle...*

— Poziom VII LTS był naprawdę wysoki; oprócz wspomnianych zwrócił uwagę studenckiej publiczności spektakl teatru „8 Dnia” z Poznania — „Wprowadzenie do”, nagrodzony już zresztą w Zgorzelcu. Dla mnie osobiście największym nieporozumieniem aktorskim i reżyserskim, była propozycja ST „Pstrąg” w Łodzi — „Została wydana wielka kolacja”.

— *Spotkania nie ograniczyły się chyba tylko do sal teatralnych?*

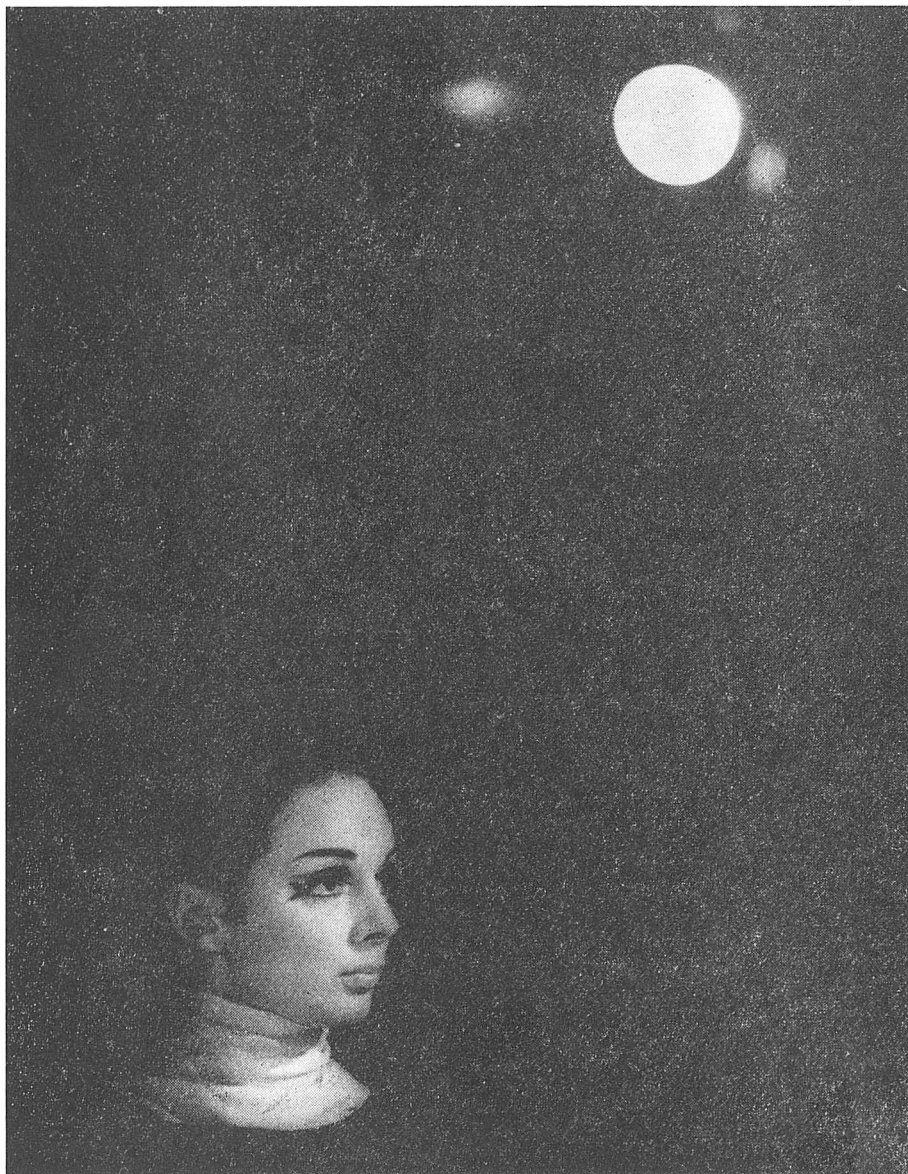
— Odbyły się również trzy seminaria teatrologiczne. Niestety, ostatnie, już po zakończeniu samego przeglądu, poświęcone ocenie aktualnego stanu teatru studenckiego w Polsce nie spełniło swojej roli. Jedno z konstruktywniejszych stwierdzeń, jakie tam padło, to sugestia, aby dyskusje w przyszłości odbywały się zaraz po spektaklach.

— *Na zakończenie jeszcze jedno pytanie: czy będziemy mieli okazję zobaczyć najciekawsze przedstawienia we Wrocławiu?*

— Myślę, że Komisja Kultury Rady Okręgowej ZSP postara się o to, aby studenci Wrocławia mogli również „zaliczyć” niektóre spektakle. A na pewno okazją do tego będzie III Międzynarodowy Festiwal Teatrów Studenckich, który jesienią br. odbędzie się we Wrocławiu.

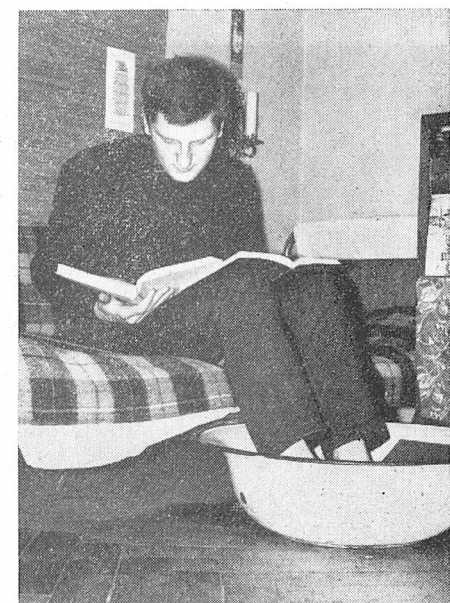
Rozmawiał: ZDZISŁAW SZALBIERZ

Fot. W. Kubica





Które pomoce „naukowe” zabrać ze sobą?



Fot. R. Makowski



Zimno, ciepło, gorąco, żar...

... a efekty? To widać!

Giełda — czy nie najważniejszy to moment w każdej sesji?



Aktual- ności

(sesja)

Rys. A. Maleszka



panna
pola

Wrocławski aforyzm

RYSZARD MOTAS

Technika idzie naprzód po trupach.

Trzeba odróżnić tych, którzy z prądem płyną, od tych, którzy z nim dryfują.

Nawet najbardziej lojalny strumień musi szumieć.

Jawne niedociągnięcia ukrywają się często pod nadrukiem „Ścisłe tajne!”

Nie wiadomo, jak potoczą się losy ludzkości — ziemia jest kulista.

Co z tego, że idea świetlista i wyznawców masy, kiedy mc^2 równa się $constans$.

Żelazne kurtyny tylko w teatrze chronią przed pożarem.

Cóż z racji, gdy głodowa.

Najtrudniej ugasić pragnienie władzy.

Mosty przyjaźni na wszelki wypadek budujemy zwodzone.

Prośby adresowane do Boga wracają najczęściej z dopiskiem: „adresat nieznan!”

Brrr! Wojna tego roku szczególnie zimna!

Poszukuję pokoju. Oferty pod „Homo sapiens”.

JACEK MOTAS

Wszystko dobre, co się dobrze kończy, a jak się źle kończy, to też dobrze ... bo się kończy.

Zatraskując wieko trumny, uważaj na palce.

Zalewał robaka i sekcja zwłok wykazała tasiemca.

Wisielec — kolczyk szafotu.

Namawiając kogoś do grzechu, napomknij mu też o pokucie.

Umarł mając 99 lat. Widocznie ktoś nie dośpiewał.

Temida dla budowlanców: miecz i wasserwaga.

PIOTR MOTAS

Często na gruzach starych cywilizacji powstają ruiny nowych.

Niektórym trzeba postawić spiżowe zapomniki, aby niepamięć o nich przetrwała wieki.

Będą jeszcze stawiać piątki z zachowania gatunku.

Zmarnowaliśmy sto okazji, sto pierwsza zmarnowała nas.

Śmiejmy się przez łzy, byle nie przez cudze.

Nie podoba mi się ta miniaturyzacja: po niej już tylko nicość.

W tłumie fałszywych przyjaciół dwaj serdeczni wrogowie byli sobie braćmi.

Rodzimy się, umieramy a świat stacza się dalej.

JERZY GOSIEWSKI

Prawdziwy optymista to ten, który przyciśnięty do muru cieszy się, że ma niezawodne oparcie.

Można przechytryć przecherę, ale jak przekorze zrobić na przekór?

Jedzenie nie powinno być treścią życia — wystarczy, że jest treścią żołądka.

Przechodząc samego siebie, częściowo zostajemy w tyle.

W pewnym wieku nie działa już ani seks ani apel.

Wolę sądzić, że jestem gorszy niż jestem, niż być gorszym, niż sądzę.

ZENON WOLNIAKOWSKI

Chcesz mieć w domu rudą żonę, musisz kupować jej orzechy.

Tak rozpierała go дума, że nie mógł dopiąć płaszcza.

Słuzę: migdały kanałów.

Krowa nie daje nam mleka dobrowolnie, lecz na podstawie umowy.

Krasnoludki: ludzie na tranzystorach.

Mrówki! — Nie ciągnijcie krasnoludków za włosy!

Cisza: hałas chodzący na palcach.

Fot. J. Bachrij





KONKURS

Z okazji CHEMIKALII Zarząd Instytutowy ZMS Instytutu Chemii Fizycznej i Organicznej organizuje konkurs fotograficzny „STUDENCI FOTOGRAFUJĄ”.

Zdjęcia o minimalnym formacie 13×18 cm opatrzone godłem oraz kopertą opatrzoną tym samym godłem, w której znajduje się nazwisko, adres oraz wydział uczestnika, prosimy kierować na adres Zarządu Uczelnianego ZMS Politechniki Wrocławskiej do dnia 30 marca br.

Nagrody:

- | | |
|-------------------------|----------|
| 1. I miejsce | — 500 zł |
| 2. II miejsce | — 300 zł |
| 3. III miejsce | — 100 zł |
| 4. Nagroda publiczności | — 200 zł |
| 5. Nagroda Dziekana | — 100 zł |

NIEWYPAŁ

Był już wyznaczony termin premiery. W ostatnich próbach docierali się studenci aktorzy. I — nic, niewypał. Sny o teatrze Politechniki pozostały w sferze marzeń a „Mały Książę” Antoine’a de Saint Exupéry’ego na kartach książki. Reżyser, Ala Makowska skończyła studia — ślad się urywa. Autorka scenariusza nie wróciła z zagranicy. Trudno dojść do nazwisk i samych aktorów. Pustka absolutna.

Gdzie podział się zapał tych ludzi, ich praca, przeżycia, emocje?

Czekaliśmy na ten teatr z niepokojem, z jakim czeka się na kogoś bliskiego i drogiego zarazem. Nie przyszedł.

Teatr jest bakcylem. Uwolnić się od niego trudno. Jego pełnia jednak — to aktor i widz, a tej konfrontacji zabrakło. Żal, bo przejściowe kłopoty, czy nawet zmiana wodza nie powinny były sparaliżować aktorskiego towarzystwa. Wielka przygoda nie została przeżyta do końca.

W czasie Dni Kultury Politechniki klub „Pod Wiklinami” zaprezentował „Konja”. Jest „Persona”. Ale luka teatru sensu stricto jest dalej wyczuwalna. Są wśród nas ludzie, którym sprawy te nie są obojętne. Odezwiście się, ruszcie. Na teatr prawdziwy (studentcki) czekamy!

A. OKOLICA
A. KOZIOROWSKI

Z WIZYTĄ U PROFESORA ZDZISŁAWA ZIOŁKOWSKIEGO

Poniżej zamieszczamy wywiad dostarczony nam przez Zarząd Instytutowy ZMS Instytutu Inżynierii Chemicznej i Urządzeń Ciepłych

Předstawiciele Zarządu Instytutowego ZMS odwiedzili dyrektora Instytutu Inżynierii Chemicznej prof. Zdzisława Ziolkowskiego w jego mieszkaniu, w którym odpoczywał po przebytej chorobie. Korzystając z tego, że stan zdrowia Pana Profesora uległ znacznej poprawie, studenci poprosili Go o wywiad, którego fragmenty przedstawiamy poniżej.

— Czy Pan Profesor już w czasie studiów zamierzał zająć się inżynierią chemiczną?

— Nie, z tego powodu, że ukończyłem Wydział Mechaniczny Politechniki Lwowskiej. Po studiach rozpocząłem pracę pod kierunkiem prof. Pilata, znanego specjalisty technologii ropy, który potrzebował w swojej katedrze asystenta o specjalności mechanicznej. Wówczas właśnie zająłem się zagadnieniami związanymi z destylacją i ekstrakcją.

— Kiedy Pan Profesor przyjechał do Wrocławia?

— Po wojnie pracowałem w Zakładach Chemicznych w Oświęcimiu. W 1947 roku otrzymałem propozycję prowadzenia wykładów z inżynierii chemicznej na Politechnice Wrocławskiej. Mój pierwszy wykład odbył się w grudniu 1947 roku w sali Chemii Fizycznej, w gmachu Starej Chemii. Moimi pierwszymi słuchaczami byli m. in. doc. dr Pieniążek, doc. dr Niemiec i inni. Przez dziesięć lat, pracując w Oświęcimiu, kilka razy w miesiącu przyjeżdżałem do Wrocławia i prowadziłem zajęcia. Dopiero w roku 1957 przeniósłem się na stałe do Wrocławia.

— Na Politechnice Wrocławskiej ma powstać Oddział Inżynierii Chemicznej. Kiedy ten plan doczeka się realizacji?

— Oddziały takie posiadają już politechniki w Gliwicach, Warszawie i Ło-

dzi. U nas jego utworzenie i nabór pierwszych kandydatów przewidziane są na rok ak. 1971/72.

— Czy program studiów na tym oddziale będzie się różnił od obecnego?

— Tak. W nowym programie zostanie położony większy nacisk na przedmioty mechaniczne, jak np. obróbka mechaniczna metali i tworzyw sztucznych.

— Czy Pan Profesor współpracuje z zagranicznymi ośrodkami naukowymi?

— Współpracuję przede wszystkim z naukowcami krajów socjalistycznych. Wielokrotnie wyjeżdżałem na konferencje naukowe do NRD, Węgier, ZSRR i Czechosłowacji. Utrzymuję także kontakty z ośrodkami naukowymi w NRF i Rumunii, gdzie byłem kilkakrotnie.

— Czy zechciałby Pan Profesor powiedzieć coś o swoim dorobku naukowym?

— Przed wojną opublikowałem pięć prac i uzyskałem dwa patenty. Jeden z nich — projekt fabryki sadzy półaktywnej — został zakupiony i zrealizowany w Rumunii. Po wojnie opublikowałem pięćdziesiąt jeden prac, w tym dwie monografie z zakresu destylacji i ekstrakcji.

— Czy ma Pan Profesor jakieś zainteresowania pozanaukowe?

— Przede wszystkim narciarstwo, którym pasjonuję się od lat studenckich. Co roku w okresie świąt wyjeżdżam w góry do Szczyrk, Ziemeńca, lub Szklarskiej Poręby.

— Wiadomo nam, że Pan Profesor, za wybitne osiągnięcia naukowe został odznaczony wieloma wysokimi odznaczeniami państwowymi, m. in. otrzymał Pan Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Krzyż Zasługi, Medal Dziesięciolecia PRL, jest Pan Profesor laureatem dwóch nagród państwowych trzeciego stopnia, a także otrzymał Pan Profesor Odznakę Politechniki Wrocławskiej.

Wszyscy studenci życzą Panu Profesorowi szybkiego powrotu do zdrowia, oraz dalszej owocnej działalności naukowej i sukcesów w pracy dydaktycznej.





PERSONALIA

Informujemy, że w końcu 1970 roku na stanowisko docentów zostali powołani:

- dr habil. inż. Miron Sikorski
- dr inż. Ludwik Żebrowski
- dr habil. inż. Henryk Markiewicz
- dr inż. Mikołaj Marczuk
- dr habil. inż. Apolinary Kowal
- dr inż. Marian Nowak
- dr inż. Jerzy Jędrzejewski
- dr inż. Benedykt Licznarski
- dr inż. Andrzej Mulak
- dr habil. inż. Bogdan Burczyk
- dr inż. Janusz Renowski
- dr habil. inż. Marian Cegielski

GRATULUJEMY
zespół SIGMY

PROBLEMATYKA PRACY A LITERATURA

Według większości krytyków jednym z niedostatecznie przez literaturę polską spenetrowanych zagadnień jest problematyka pracy (zwłaszcza produkcyjnej) w ustroju socjalistycznym. Czy literatura jest zdolna do objęcia swym zasięgiem tego skomplikowanego a społecznie ważnego tematu? Jakże są przychylne „opóźnieni” i pewnie niechęć pisarzy wobec tej tematyki i problematyki?

Tym i podobnym zagadnieniem poświęcone było krajowe seminarium młodych pisarzy, zorganizowane w dniach 21–22. XII 1970 r. w Lublińcu przez Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy przy Zarządzie Wojewódzkim ZMW w Katowicach i Zarządzie Głównym ZMW.

Witold Nawrocki, jeden z głównych teoretyków tego zagadnienia (zob. m. in. szkic „Przeszłość i teraźniejszość tematu” w tomie „Trwanie i powrót”, Poznań 1969), mówił o współczesnych powieściach zajmujących się problematyką pracy. Referat zwrócił m. in. uwagę (na przykładzie powieści wydanych w ostatnich latach przez pisarzy środowiska górnośląskiego) na pokutujące wciąż (m. in. jako pozostałości socrealizmu) uproszczenia, staroświeckie traktowanie tematu pracy i życia klasy robotniczej, na pewną ilustracyjność i tzw. opisowość technologiczną w prozie.

Jacek Kajtoch przypomniał śląskich pisarzy ludowych (N. Bończyk, K. Dąbrowski i inni), którzy w swoich utworach zajmowali się życiem i pracą robotników.

Tadeusz Strumff, redaktor działu reportażu „Współczesności”, zajął się błędami i schematami strukturalnymi, panoszącymi się w utworach reportaży (pisanych, radiowych i telewizyjnych). Strumff przypomniał oczywiście niejaką tezę, iż nawet szczegółowa znajomość pracy w zakładzie produkcyjnym (on sam na dwa lata opuścił Warszawę i jako działacz pracował w kombinacie turowskim, czego

owocem była książka („Półwysep T”) nie może być gwarancją powstania ciekawej książki, filmu, widowiska telewizyjnego.

W dyskusji, w której wzięło udział kilkunastu młodych pisarzy, wskazywano, iż nie może być mowy o jakimś uprzywilejowanym traktowaniu tematu pracy, iż liczą się nie tylko dobre chęci i „słuszne podejścia”, lecz rzetelne efekty literackie. Słusznie przypomniano, iż nieporozumienia wokół tematu pracy w literaturze wynikają m. in. z tradycyjnego, XIX-wiecznego traktowania literatury jako „zwierciadła przechodzącego się po gościńcu”. Funkcje poznawcze spełnia przede wszystkim film, radio i telewizja, literatura zaś — nie rezygnując oczywiście z penetrowania wszystkich dziedzin współczesnego życia w Polsce — musi mieć ambicję znacznie większe. Ernest Dyczek zwierzył się uczestnikom seminarium z okoliczności, które wpłynęły na niedokończenie powieści o „Pafawagu”. W sumie — spotkanie udane i potrzebne.

W turnieju jednego wiersza, jury pod przewodnictwem Jacka Kajtocha przyznało I nagrodę Ryszardowi Milczewskiemu Bruno za wiersz „Nocna w sierpniu rozmowa z Cendrarsem”. Nagrodę publiczności — co rzadko się zdarza na tego rodzaju turniejach — otrzymał ten sam poeta.

Szkoda, iż nie doszło do — zapowiedzianego wcześniej — zwiedzenia huty „Bobrek” i tzw. ściany turystycznej kopalni „Zabrze”. Młodzi pisarze musieli się zadowolić zwiedzeniem Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie.

(PYA)

WYSTAWA AMERYKAŃSKIEJ KSIĄŻKI NAUKOWEJ I TECHNICZNEJ

W dniach 28. I. — 2. II. 1971 r. czynna była w Gmachu Głównym Politechniki wystawa amerykańskiej książki nauko-

wej i technicznej. Wystawę urządzono staraniem Konsulatu Amerykańskiego w Poznaniu i Pionu Współpracy z Zagranicą. Organizacją i obsługą wystawy zajęła się Biblioteka Główna i Ośrodek Informacji Naukowo-Technicznej. Eksponowano ponad 600 tytułów książek z nauk podstawowych, techniki oraz nauk przyrodniczych. Oprócz literatury naukowej i dydaktycznej bogato reprezentowana była literatura popularno-naukowa. Szczególnie dużym zainteresowaniem zwiedzających cieszyły się działy: architektura, urbanistyka, komputery, zarządzanie oraz wydawnictwa ogólnonaukowe. Pracownicy Uczelni mogli na miejscu składać zamówienia na interesujące ich pozycje.

Eksponowano również katalogi firmowe kilkudziesięciu amerykańskich firm przemysłowych, przy czym materiały te przekazano po wystawie bezpośrednio zainteresowanym instytutom.

Wystawa ta, podobnie jak poprzednia wystawa brytyjskiej książki naukowej, dała pracownikom Uczelni okazję do bezpośredniego zaznajomienia się z wybranymi pozycjami literatury zagranicznej, z których kilkaset tomów trafi szybko — i bezdewizowo — do rąk zainteresowanych.

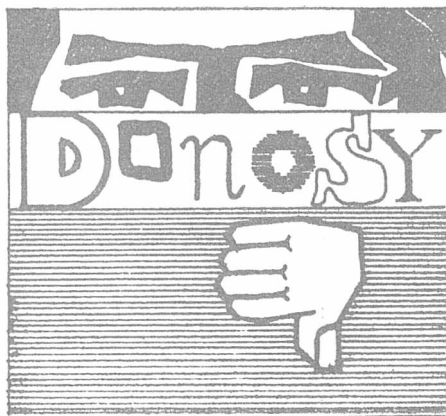
Można żywić nadzieję, że nie będzie to ostatnia z serii wystaw prezentujących w naszym środowisku literaturę naukową innych krajów.

S. P.

SPECJALNIE DLA STUDENTÓW

Do wiadomości rzeszy studenckiej: we wtorki każdego tygodnia w kinie „Śląsk” o godz. 20⁰⁰ wyświetlane są filmy specjalnie dla studentów. Wtorkowe seanse stanowią przegląd najnowszych dzieł kinematografii światowej z awangardą włącznie. Bilety rozprowadzane są przez STUBIL codziennie w godz. 13–15.





„DONOSY”:
Określnik literacko-informacyjny
Całkowicie nieodpowiedzialny organ
red. Wyjca
Redaguje Kolegium

DEMENTI

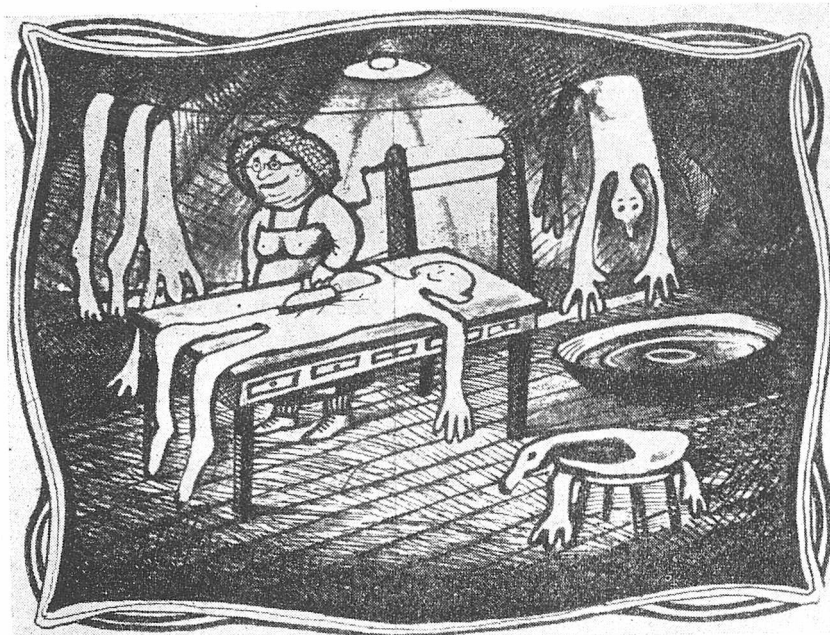
Agencja DPŻ dementuje szerzące się od roku pogłoski, jakoby miały być wprowadzone tarcze z napisem „Politechnika Wrocławska”, noszenie których byłoby obowiązkiem każdego stu-

WALKA Z GRAFOMANIĄ

Jak dowiadujemy się od naszego donosiela, akredytowanego przy RU ZSP, na ostatniej konferencji sprawozdawczo-wyborczej zapowiedziano walkę z grafomaństwem, używając przy tym poniższych sformułowań: „konsekwentne wyrażanie”, „świadomy i aktywny udział”, „odpowiedzialne podjęcie głównego zagadnienia” itp...

NIELADNIE!!!

Jak dowiadujemy się z tych samych źródeł, w czasie konferencji miał miejsce bardzo przykry wypadek sprzężenia a następnie „wysiadki” całej aparatury nagłaśniającej. Wcale to nie dziwi, zważywszy, że wzmacniacze „sklemano” na pięć minut przed konferencją. Z drugiej zaś strony — niezbyt to ładnie, że mamy takich mizerych elektroników.



Przedruk za: Świat

KRZYŻÓWKA

Znaczenie wyrazów:

Poziomo

1 — zajmował się nią M. Faraday;

6 — bydło domowe w południowej

Azji;

7 — częśćka filmu;

8 — sztuczne lodowisko w Warszawie;

12 — trzyminutowy okres walki pięściarskiej;

13 — płytke obuwie używane w średniowieczu;

14 — rzeka, wpada do Zalewu Kurońskiego;

17 — puszysty ogon lisa lub wiewiórki;

18 — dzielnica Warszawy;

19 — najwyższa rada marynarki wojennej.

Pionowo:

1 — największy wydział w Politechnice Wrocławskiej;

2 — kolor w kartach;

3 — zebranie towarzyskie, przyjęcie;

4 — symbol zwycięstwa i nagrody;

5 — łagodzenie uderzeń i wstrząsów;

6 — zespół wyrazów uporządkowanych według zasad gramatyki;

9 — człowiek nie należący do danego środowiska;

10 — lwia paszcza;

11 — słupy z zaostrozonymi końcami wbite w ziemię;

15 — lubią mężczyźni u kobiet;

16 — część kościoła oddzielona kolumnami i filarami;

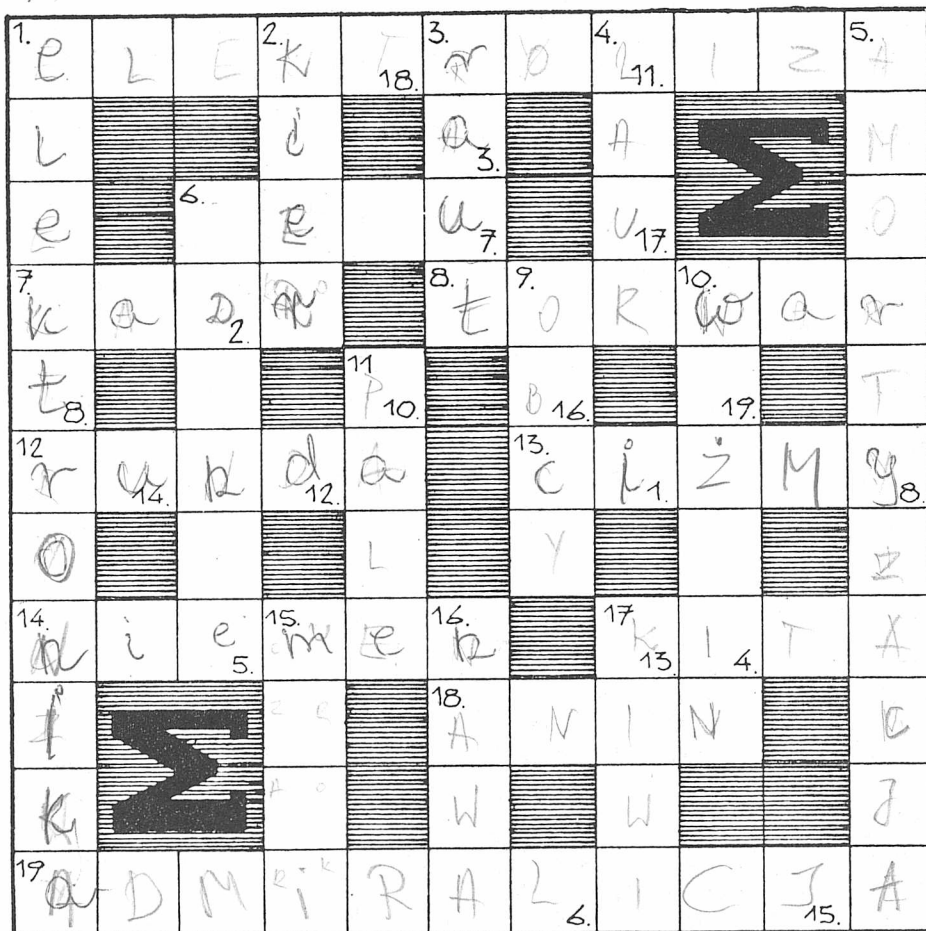
17 — ptak z rzędu bezgrzebieniowców.

U W A G A

Po prawidłowym rozwiązaniu krzyżówki litery w ponumerowanych kratkach w dolnym prawym rogu — czytane od 1 do 19 — utworzą aktualne hasło.

Rozwiązania prosimy nadsyłać na adres Redakcji do dnia 15 marca br.

Nagrody książkowe za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki z 3/24 numeru SIGMY (SREBRNY JUBILEUSZ POLITECHNIKI) otrzymują: Andrzej Hochtut, Ryszard Koziół i Mariusz Stefanowski.





(fragment większej całości)

Zacznijmy od początku tę opowieść; i już ciśnie się pytanie — jakiego początku: mojego światła? moich dłoni? początku oddechu, który

przerwałeś wchodząc? początku świece, która zraszała się z nocą po twoim oddaleniu z domu? początku świata w tym słowie: Natalia? początku spojrzenia twojego, które było w Klubie, zanim uchyliły się drzwi? jakiego po-

czątku — niebieskiego, ciemnoniebieskiego początku sukni? twarzy mojego sąsiada, po której skradał się jakiś cień i znikł, gdy odwróciła głowę w jego stronę siedząca obok mnie dziewczyna? początku braku? bieli? Juliene w twoich snach? początku Karła w obrzydzeniu między językiem a śmiesnością rozwieszonego?

Wiele, jak widzisz, może być początków i każdy dobry, żeby odnaleźć tam ciebie i każdy zły, żeby wypowiedzieć twoją nieobecność pełną we mnie, początku urwanego wyrazu? początku sceny, gdy rozmowa z kłęczek pokornych powstała i wiązała porozumienie z tobą oddaloną o parę zaledwie metrów, a niewidzącą jeszcze tego misterium między nami? dobrze, że tak się stało, jak się stało; więc początku pustyni białej? zdania? oporu? głodu?

Pożyzyłem 20 złotych od pani Jadwigi, sekretarki mojej Instytucji, na obiad i gdzie — myślę sobie — pójść — w barach kolejki i kolejki w myślach moich, jedna za drugą wyglądające, nerwowe, niespokojne — co krok to bliżej, czego — niedomówień? placków ziemniaczanych? gniewu? oczu kasjerki? bliżej kieszeni moja ręka a myśl nie przejdzie przez kieszeń języka — więc jak? Natalia, coś jest nie w porządku, z pieniędzmi, z kolejką, z wątpliwościami stoję po ciebie, po twój brak, a długonogi student drapie się w szyję — czy to drapanie śniegu? — niedoczekanie jego — do kolejki — w którejś wśród kamieniołomów koło Jerzmanic, w kierunku Złotoryi, w kierunku bramy — u kamieniołomów języka — kolejka wydłuża się zamiast, a czas nie stoi, wisi, pełźnie, pisze swoje pierogi ruskie ze śmietaną na mojej skórze, na języku — mięśni, głód pełźnie litera po literze do zdania, a krok przed okienkiem słowa, powietrza — jak na złość — dorysowanego do śmiechu i wąsów, zboża w kuchni zapiekanego, zapiekanej goryczy i gorczycy, takie to różne a w jednym rzędzie; czekając więc — że tak powiem — wracając do tematu — głodu? ciszy? początku? czekając w wyrazie, z wyrazem bólu? śmiechu? i już prawie z głową przed okienkiem kasjerki i wycierpaniu — między jeszcze tobą, plecami, zachwytem z nocy, gdy leżałaś między zdaniami — stoję i czekam na obiad, śniadanie, początek a resztą

Fot. W. Kubica



swojego życia, które doprasza się końca, litery? stoję więc między tobą, nagą nieobecnością, zdziwieniem, nie-domówieniem, wzdłuż ściany listu i piekiel, z pożądaniem pierogów, kobiety, muzyki, cierpienia skóry, skurczów żołądka, czekam w myślach, prze-czekam zdanie po zdaniu i co się za-pisze w tym głodzie, szaleństwie i co-raz gorzej, posłuszny nogom ide, niosę ten głód, garb na plecach, na języku, na świecie, idę stojąc w kolejce do okienka, okienka myśli? lęku? piero-gów? aż mój los się wyjaśnia, za szy-bą bilet na 5 złotych i 20 groszy, kakao i chleb z masłem, kolejka na mnie przyszła, uwierzyłem w przeznaczenie tego dnia, rany boskie, rany na rękach, rany — na podłodze, poślizgnąłem się, czy ktoś mnie potrącił, na jedno wy-chodzi, czyli na jedno leży, ja, kakao i bułka, trójka jedyna i mój głód już nie zbierze się w kupę, ani w sobie, rozchodzi się po całym ciecie, ale pół biedy, śmiechu? gniewu? zostało prze-cież 14 złotych i 80 groszy — liczę do-kładnie: oczy, nogi, grosze, drwiny, i plamy na spodniach, nie jest źle, można wyżyć z jednego zdania, zdania sobie sprawy z podłogi, groteski? śmiechu? można odetchnąć, że to nie była zupa i pierogi, a tylko kakao i chleb i cho-duję głód, wierny głód ciała, Natalio,

idę dalej, to już godzina trzecia po południu, głód w Klubie, nie ma ciebie, głód we mnie, kolejka na los, czeka-nie, nerwy, oczy, przyglądam się tej gębie różowej, zaróżowionej po włosy, po cebulki, po co? ano właśnie, w każ-dym razie gębie mocno osadzonej na nosie, pod pianinem, gdzie wieczorem siedzą grajkowie, żeby odpocząć po so-bie, po innych też

czekam na obiad? ciebie? uspokoję-nie?

co można zjeść za 14 złotych i 80 groszy — pytam młodą kelnerkę i mam głód na nią, patrzę, gdy proponuje bi-gos, na jej dłonie czyste, świeże i głod-ne też, tylko jeszcze o tym nie wiedzą, mnie w tej chwili w każdym razie, nie — mówię, może jest coś innego — py-tam i mój głód rośnie, jej piersi w ja-kiejś sylabie bym pieścił, otwarte na mój głód, zasupłane w sobie, w moim pragnieniu, może ryby — zawiesiła głos — a ja zaciskam palce pod stołem, pod jej oddechem, pod ogniem i to już

drugi raz nawałnica głodu przechodzi przeze mnie, niedawno, parę dni temu, gdy jechałem tramwajem, zauważyłem dziewczynę, studentkę może, albo uc-zennicę, tę drugą chyba bardziej, bo nogi miała odsłonięte wysoko i ciało prężne, takie, jak może być tylko u dziewczyny rozbudzonej, ale młodej, stanęła przede mną, rozrośnięta, ze sku-pioną energią, a przy tym jakby dys-kretna w talii, i głód mój potężniał, przestrzeń rosła przygotowana na nią we mnie, a potem razem szliśmy ulicą i bez słowa, bez znaczenia, wygaszałem w sobie tamto pragnienie, bo rzecz ca-ła nie miała sensu, ale była faktem i mówię ci o tym, Natalio, bo myślę, że ona, tamta dziewczyna z tramwaju i teraz ta kelnerka, obie, były twoim wyrazem, wypowiadały ciebie we mnie, to ty poprzez nie przenikałaś i to całe moje poplątane od dwóch tygodni my-ślenie o tobie wyzwało się nieoczeki-wanie i stało u podstaw moich prag-nień, choć trudno w to uwierzyć, bo przecież moje pragnienia ciebie są in-ne, a te, tak sobie kombinuję, były tylko szczególną formą reakcji na głód ciebie, ale były, więc możesz się do nich przyznać, kelnerka powiedziała, że poda mi coś dobrego za 14 złotych i odeszła, a ja w oczekiwaniu na to zapowiadane dobre przeglądałem ka-lendarz i szukałem takiego dnia, któ-rego nie ma w żadnym kalendarzu, szu-kałem dnia — pewności, bo obliczałem sobie różne swoje tęsknoty i wróżyłem w tych minutach wyczekiwania, czy tęsknoty spełnią się czy też nie, choć wiedziałem, że żadne wróżby, a te z pamięci na pewno nie, nigdy nie speł-nią się; ze stolika bliżej drzwi, a ja siedziałem we wnęce, tam gdzie wczoraj przesiedliśmy się, gdy ktoś wybił szybę, tuż za moimi plecami, tam właś-nie siedziałem, a spod drzwi upor-czywie przyglądał mi się człowiek, któ-rego nie rozpoznałem wcześniej i dla-tego spojrzalem w jego stronę — to był Tadeusz Z., który później przy-siadł do mnie i rozmawialiśmy o poezji, ale zrobił to znacznie później

to nasze pisanie coraz mocniej nie-pokozi mnie, ponieważ widzę, że tracę siły i chęć po trochu a tak jak ty trwam w uporze, i dlatego jeszcze spo-dziewam się, że cały nasz wysiłek, twój i mój, nabierze wartości, o ile

rzeczywiście nasze problemy i ka-lectwa, radości i dramaty znajdą swój wyraz w listach, godzę się już nawet na tego Filipa, sztucznego bo sztucznego, ale co robić, ty jesteś pisarką i lu-bisz grę wyobraźni, nie życzę ci nicze-go złego, ale od wyobraźni bardziej ce-nię odwagę (jaką?)

robię błędy w pisaniu, mylą mi się czasy i sam sobie się mylę, ale to inna sprawa, a ciekawi mnie, jak ty budu-jesz swoich bohaterów, gdy piszesz książki, ile w nich jest pierwowzorów z twojego otoczenia a ile fikcji, napisz mi o tym, może nawet podaj przykła-dy w listach

Nato

głód od ściany do ściany, od pomy-słu do niemożliwości, głód papieru, pióra, ciała, wartości, przestrzeni, od gwiazd do piekiel, od łez do poematu, taki głód odczuwam — w tym głodzie — historii, poezji, kobiety, śmierci, pię-kna — głód o godzinie 15 dnia 25 paź-dziernika, w Klubie jest litera, kropka, przecinkiem, niczym, i na to nic cze-kałem, aż kelnerka przyniosła, a niosła długo — niecierpliwość — we mnie krąży wśród mnie, wypala, wyniszcza

— przyszedł Bernard A. — poeta — 15,30 — on nie mówi, on nigdy nie mó-wi, on pisze, jest bezradny w mówie-niu, zastanów się, na czym polega jego komunikat, Natalio

— więc — w nim, w środku jest la-wa, ogień, gęstość, rozchełstanie wy-obrażni

godzina 1,27 — patrz Natalio, jak źle ze mną, piszę do ciebie — w nim gniew — ale jasny — z takim trudem, a tu noc — chcę, żebyś wyjechała do War-szawy, lub gdzie indziej, z Polski, z pa-mięci, narzuciłaś się mojej wyobraźni i nie mogę się wybronić przed tobą nie Kocham cię — to pewne.

a może wzbraniam się przed sobą, ale to niemożliwe, czyżby listy tak za-jęły kawał życia, co? — wyjedź!

godzina 13,57

nowy dzień, nowy — więc: inny, lep-szy, gorszy, wysoki, niski, zapinany na pasy, rozstrzelany, martwy — ? — a dzień — nic nie mówiący dźwięk, porządek głosek zdziwionych sobą, jas-nością, liściami (?), moją niezgodą na co? na stół, lęk pogodę (?), niezgodą na szczekanie psa, odległe a głośnie, i to wtedy, gdy muszę mieć ciszę jak wczoraj, w nocy, ale nic, trudno, Natalio — z nieskończoności twoje imię, wysokość w nim walczy z przestrzenią, miara z bezgranicznością, i to ty, za sylabami, za murem, niema, jaka? — do ciebie skradam się przez te niezapisane pola, a właściwie muszę ci to wreszcie po-wiedzieć, moje listy piszę do ciebie, a wysyłam tylko tobie, wszystkie listy piszę do siebie, bo sobie coś muszę wy-tłumaczyć i w gruncie rzeczy przed sobą wybronić, przed swoją nieostroż-nością i pomyleniem, twój cień pada z każdej litery na kartce i jakbyś to chciała widzieć, to zobaczysz, więc przyglądaj się, a ja, tak naprawdę, to toczę proces przeciw sobie, tropię swo-je życie, które mi mocno zaszło za skó-rę, idę jego śladami, by mieć pewność, że coś zrozumieć z tego wszystkiego, co jest moim udziałem na tej ziemi, a przy okazji, przy okazji tylko, roz-strzygnę rzecz naszą, to nieoczekiwane wtargnięcie twoje, w strefę nieżyczli-wą ludziom we mnie, w mój lęk — bo tam przedostałeś się jakoś, nie mo-gę tego na razie wytłumaczyć sobie ani tobie, jest bowiem tak: nie podzi-wiam cię, nie Kocham, choć cenię i szanuję, ale żadne z moich uczuć do



Fot. A. Mill

ciebie nie jest za wielkie, a jednak — i to bezsprzecznie — podniosłaś — właśnie ty — temperaturę mojego życia, rozszerzyłaś granice mojej wrażliwości, i nieraz — choć na krótko — oczarowałaś sobą, a nawet więcej, zdumiałaś mnie, i wtedy byłem szczęśliwy, że muszę poddać się baczniejszej kontroli, że nie jest ze mną tak, jak wyobrażałem sobie, że — i to zdumienie, przeniknęłaś przez jakąś, oczywiście wąską, strefę ciszy we mnie, i rozszumiałaś tę krainę, zrozumiałem — dzięki tobie — że czeka mnie wielki trud uszczelniania siebie, blokowania, że jestem nadal — wbrew latom, wielu latom — za słaby jeszcze, żeby zbliżyć się do drugiego człowieka i nie być zaskoczonym, a chcę bardzo przewidzieć wszystkie i niczym nie dać się zaskoczyć, a najmniej sobą, swoją słabością, dlatego jestem ci wdzięczny, Natalio, że odkryłaś przede mną, we mnie miejsca łatwe, proste, żenujące; gniew mój był wielki, ile razy przekraczałaś mój lęk, wchodziłaś w jego panowanie, nie darując ci tego, Natalio, nie zapomnę — ale to mało — wywołałam w sobie wystarczającą ilość sprzeciwu, żeby pozbyć się wszelkiej czułości, która stała u progu twoich zwycięstw, jak widzisz, nawet podziw, jak mam chwilami dla ciebie, przypisuję swoim słabościom, a nie twojej indywidualności — bo tak jest naprawdę, mierzę ciebie sobą, jestem twoim punktem odniesienia, ostatnio jesteś za kosztowna — droga pani — strzeż się, skończę z tym; pragnęłam listów miłosnych, a obdarzam cię niegrzecznościami

— wyjaśnijmy sobie wszystko: zaczęliśmy zabawę, i tak to traktowałem, a teraz wchodzę w niepokój, i jego siła we mnie rozrasta się — nowe tereny gorzkie i coraz ciemniejsze —

Nie pragnę ciebie. Nie pragnę jak kobiety. Lubię rosnący głód we mnie, gdy wypowiada się szybko i wzbiera w żyłach gorąco przy tobie. Ale nie to jest ważne. Jesteś jedną z wielu kobiet. Nawet bardziej nieudolną i kaleką niż inne.

Szedłem w piątek, 22 października, odchodziłem od kobiety, która, wygaszona, znikła z mojego życia. Z mojej krwi. Znikła ze mnie. Szedłem w tę noc, gdy ulice były puste. Stare kobiety roznosiły mleko w butelkach. Szedłem. Godzina czwarta uderzyła. Szedłem nie pragnąc odpoczynku. Wypełniony ciszą. Głos pociągu. Skąd tam się wziął pociąg? Zatrzymał mnie. Nasłuchiwałem. Syrena zawyła. Za horyzontem, który wybielał się od wschodu.

Żmuda wracał z pracy. Szedł uśpiętymi ulicami Barwic. Tak się nazywa miasteczko na północy kraju. Nie domyślał się, że go widzę. Skręcił koło restauracji. Popatrzył w jej wypróżnione wnętrza. Stukanie jego butów wyprzedzało jego ciało. Niosło się wąskimi ulicami miasta. Słyszałem ten głos i głos pociągu. Widziałem Żmudę. Szedł potężny, z długimi rękami, żyłastymi. Stale tak chodził. W kierunku dworca.

Nie było we mnie złości. Ani zemsty. A jednak. Ten pociąg odwrócił moje myślenie. Niedawny spokój diabli.

Nie miałem szczęścia. Nie wiedziałem, jak wrócić do środka miasta. Taksówek nie było. Wolno ruszyłem. Było za wcześnie, żebym mógł odwieźć znajomych. Czasem zdarzają się takie noce. Bramy domów wypychały przed siebie podwórka. Było luźno. Przestrzenie. Ulice odpoczywały. Roz-

prężały się. Układały wygodnie wzdłuż chodników. Jak koty wzdłuż płotów na wsi. Place — te największe — swoją swobodą demonstrują wyraźnie. Wyodrębniają się od ulic i domów. Są wypiekami miasta. Plamami w mroku tynków. Szedłem przez takie ulice, uliczki, tętniczki, konary przedmieść. Powoli ściszał się we mnie głos niedawny. Miał. Nie nadeszła jeszcze pora na to, co będzie najważniejsze w moim życiu. Dla jednego faktu żyję. Minęło dwadzieścia lat od tego dnia. Ale dość. Odchodziłem od kobiety. Coraz dalej. Która mocno zapisała się tej nocy w moim ciele. Okrucieństwo walczyło w niej z przerażeniem. Leżała na łóżku, a ja obok, w, poza wszystkim, poza krzykiem i bólem, poza gniewem wyniesionym w dzikie krajobrazy, gdzie każda gałąź, źdźbło trawy, krzak — to jedna rana, rozdzierająca, wrzask krwi. Noc pękająca, ruiny światła, powietrza. Tam wyniesiony mogłem szepać ty, ty — głodzie, ty —

Odchodziłem od niej. Szedłem długo zanim. Ludzie wskakiwali do tramwaju, do pracy, do nerwów, do płaczu. Spieszyli się. Wyrwani ze snu, z miłości, z. Szedłem. Most. Przypomniałem sobie, że nie opowiedziałem mostów. Opowiem kiedyś.

Na ulicy Świdnickiej tablica ogłoszeń:

„Wynajmę pokój z łazienką, nowe budownictwo, cena: 20 tysięcy — za rok.

Wsadziłem rękę do kieszeni.

Przed czterema godzinami spotkałem ciebie (jest godzina 23,13). Stałaś: fakt. Zaskoczenie. Nie lubię tego.

Moja gorączka. Wariactwa liter. Piszę, że jesteś. Gniewasz mnie. Gonię literę literą. Filip — sprawca zła. Można na niego rzucić to, co nie wyjdzie. Filip to Filip. Nie muszę się z nim identyfikować. Mogę. Wydaje ci się, że pisarz buduje swoich bohaterów z własnego życia. Ścisłej: z doświadczeń, przeżyć. Bez tego nie ma książek. Cała literatura opiera się na. O naiwna. Nie ma pani racji. Nie będę przekonywał. Możliwa jest literatura, nazwijmy to, metafizyczna. Nie wszyscy widzą.

Kiedyś mówiłaś: piszę dla czytelnika, liczę się z nim.

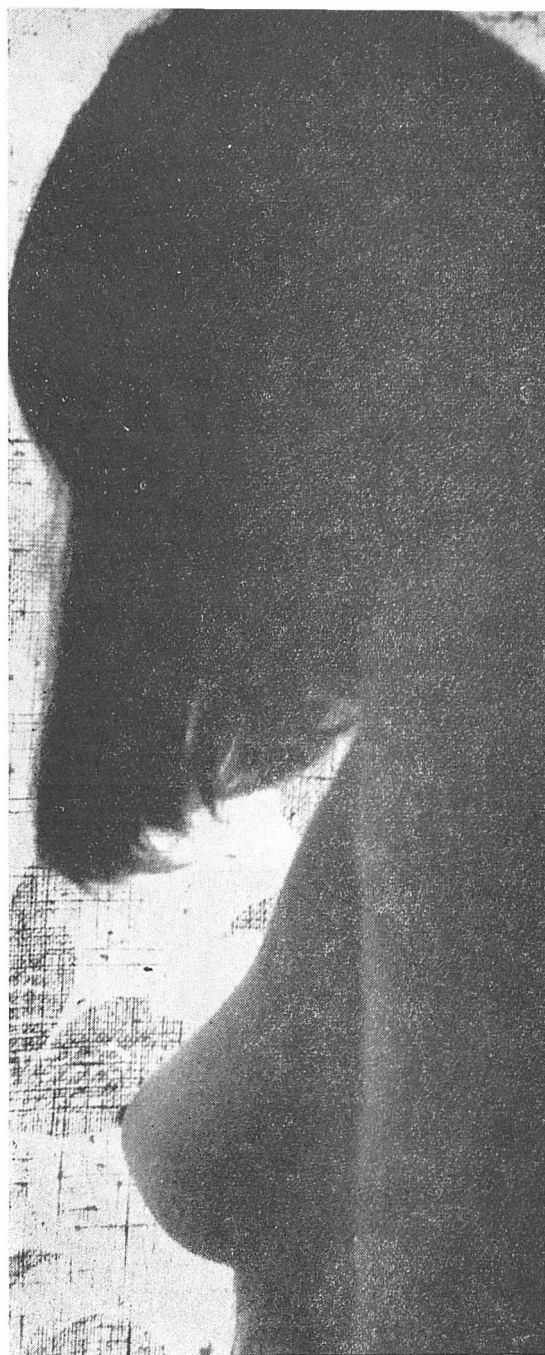
Co liczysz: wrażliwość, wykształcenie, chamstwo, bogactwo, jego sypialnię, lęk o młodą żonę, która zdradza — a może: wagę mózgu i ostrość wzroku. Wskaż kryteria, którymi mierzysz jasność i przejrzystość książek.

Nie brak ci pogardy dla własnego wysiłku. Pycha i zarozumiałstwo — to silne strony twojego charakteru.

Co może innego dać pisarz czytelnikowi niż własny ból, własneślepienie, gniew i czułość, nadzieje i niepokój, talent, wrażliwość, pamięć, nerwy, nieprzespane noce, choroby, lęki, wyobraźnię, wstyd własny —

Czy to nie za mało? Więc co: krew, ciało, przeczucia, obłąkania, przerażenia, klęski — ? — jeszcze mało?

Religie, boga?



Fot. W. Kubica

Pisarz daje czytelnikowi to wszystko, co jest w nim, dobro i zło, pewność i niepewność, jasność i mrok, przestrzeń i czas.

Nie ukrywajmy tego, o czym trzeba mówić. Liczyć się z kimś, to znaczy, dawać doskonałość. Próbować dawać.

Nie mam litości dla głupców. Karlów wyobraźni. Świat żąda za wiele. Żąda strachu, choroby, nędzy, wojny.

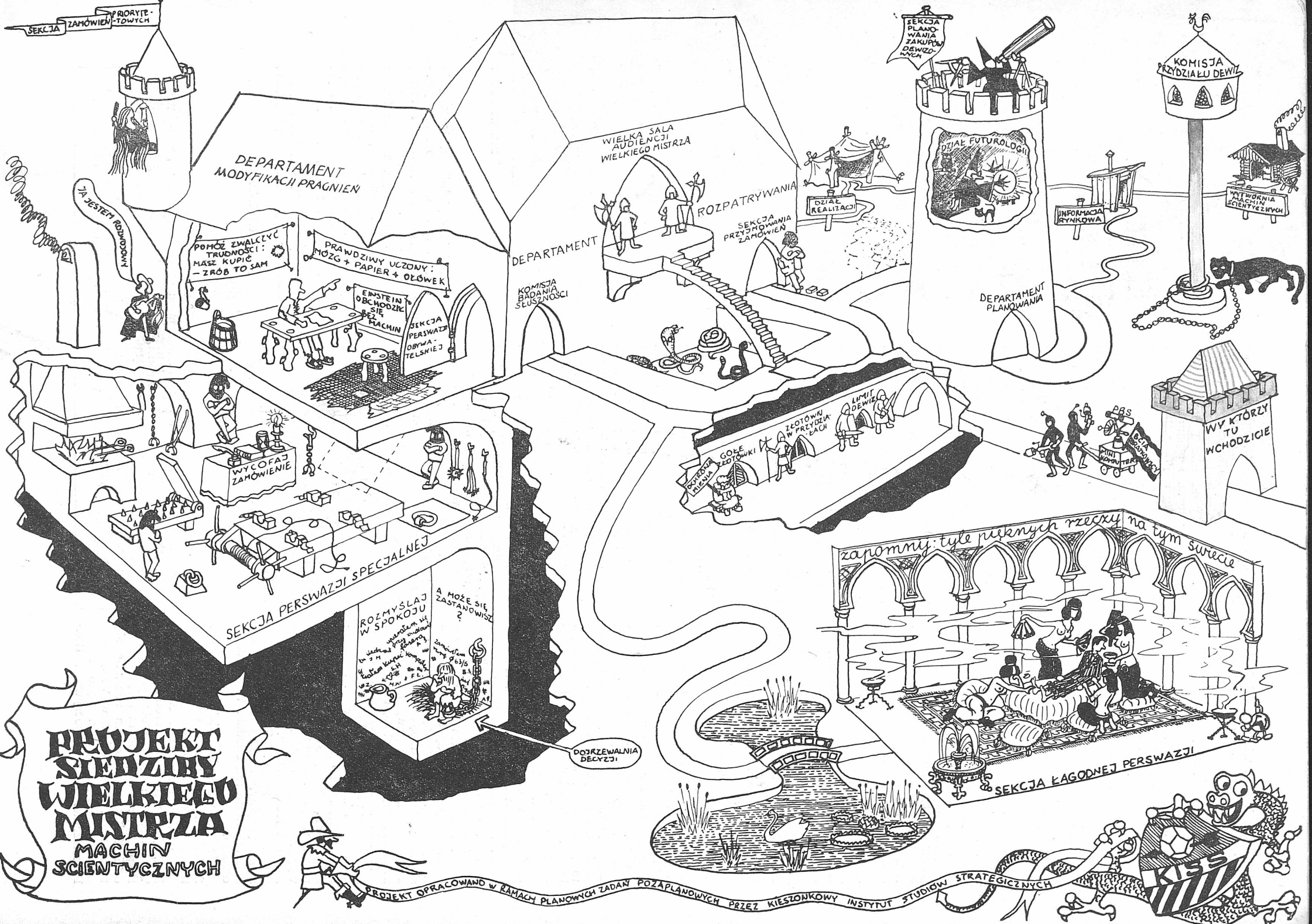
Zarłoczny.

Ocalać swój mrok. Ból. Smutek. Inym na obraz i podobieństwo. O ironio.

STANISŁAW SROKOWSKI



Wydaje Politechnika Wrocławska. Adres Redakcji: Wrocław ul. Wybrzeże Wyspińskiego 27, pok. 309, tel. 270-51 w. 240 (pocztą wewnętrzną: P9/S). Redaguje zespół w składzie: JACEK GAJEWSKI, JERZY GIRULSKI, SŁAWOMIR HULANICKI, FRANCISZEK ŁĘTOWSKI, JERZY MACKOWIAK, JERZY MAGER, JAN OSIŃSKI (naczelnik redakcji), ANDRZEJ PEŁECH (z-ca redaktora naczelnego), ZBIGNIEW SZTUBA, STANISŁAW SZULC, MARIA WÓJCICKA (sekretarz redakcji). Opracowanie graficzne: ZDZISŁAW WÓJCICKI przy współpracy Andrzeja Maleszki Druk: WDN — Wrocław zam. 508/71 nakł. 2000 form. A-4 K-15 Cena zł 2,—



SEKCJA ZAMOWIENIOWYCH

PRIORYT

DEPARTAMENT MODYFIKACJI PRAGNIEN

POMOC ZWALCZYC TRUDNOSC: MASE KUPIC - ZROB TO SAM

PRAWDZIWY UCZONY: MOZG + PAPIER + OLOWEK

EINSTEIN OCHODZIK SIE ZACHIN

SEKCJA PERSWAZJI OBYWATELSKIEJ

WYCOFAJ ZAMOWIENIE

SEKCJA PERSWAZJI SPECJALNEJ

ROZMYSLAJ W SPOKOJU A MOZE SIE ZASTANOWISZ?

WIELKA SALA AUDIENCJI WIELKIEGO MISTRZA

DEPARTAMENT ROZPATRYWANIA

KOMISJA BADAANIA SLUSNOSCI

SEKCJA PRZYJIMOWANIA ZAMOWIENIOWYCH

SEKCJA PLANOWANIA ZAKUPOW DEWIZOWYCH

DZIAL FUTUROLOGII

DEPARTAMENT PLANOWANIA

KOMISJA PRZYDZIALU DEWIZ

WATKOWNIA MACHIN SCIENTYFICZNYCH

WYKTORZY TU WCHODZIE

zanomny: tyle pieknych rzeczy na tym swiecie

SEKCJA KAGODNEJ PERSWAZJI

PROJEKT SIEDZINY WIELKIEGO MISTRZA MACHIN SCIENTYFICZNYCH

PROJEKT OPRACOWANO W RAMACH PLANOWYCH ZADAN POZAPLANOWYCH PRZEZ KIESZONKOWY INSTYTUT STUDIOW STRATEGICZNYCH